Cena 10 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr. 4–5 Lublin, 1 października 1944 r. Rok I

JERZY PUTRAMENT

ODBUDOWA PSYCHICZNA

Epoka dzisiejsza nakłada na polską literaturę nowe, ciężkie, ale nieuniknione zadania. Mieliśmy już w naszej historji okres, kiedy literatura przyjęła na siebie przodującą rolę w rozbudowie świadomości narodowej i utrzymaniu żądzy niepodległości. Spełniła ona wtedy rolę **wychowawczyni narodu.**

Nadszedł czas, gdy powtórnie taką rolę musi spełnić. Kataklizm, który kraj nasz nawiedził, do głębi wstrząsnął całem naszem życiem. Nie tylko spalona jest Warszawa, nie tylko Niemiec wymordował nam najlepszych uczonych, myślicieli, przodowników kultury. Nie tylko jesteśmy teraz ubożsi o kilka miljonów zmarłych i zamęczonych w Oświęcimiach i Majdankach.

Wszystko to, co zostało z naszego narodu, ci co przeżyli tę nieskończoną jeszcze zamieć wojenną — każdy na swój sposób utracił pewne wartości, nieodłączne od społecznego istnienia ludzkiego, niezbędne nawet dla zwyklej ludzkiej egzystencji.

Przed nami stoi zadanie odbudowy. Musimy wznieść z prochu naszą stolicę, odrodzić dziesiątki miast, tysiące wsi. Musimy odbudować rozprzęgłą psychikę ludzką.

To właśnie, ta **odbudowa psychiczna**, jest pierwszym i najważniejszym obowiązkiem literatury.

* * *

Niemcy zadali nam ciężkie straty moralne. Straty mniej dostrzegalne, więc trudniejsze do naprawienia, trwalsze i bardziej powszechne. Te szkody moralne są różnych kategoryj, ale w swej najcięższej formie sięgają bardzo głęboko, sięgają aż do podstaw, do fundamentów etyki.

Wszystkie społeczeństwa ludzkie w swoim rozwoju opierały się o pewne reguły moralne. Mówiąc krótko, sprowadzają się one do dwóch pojęć: dobrego i złego. Treść tych pojęć wahała się w zależności od epoki i rodzaju danego społeczeństwa. Społeczeństwa europejskie uznawały np.: zabójstwo, kradzież, zdradę — za rzecz złą; wierność, litość, ofiarność — za rzecz dobrą. Cały postęp ludzkości był możliwy tylko dzięki tym normom — inaczej ludzie nigdyby nie potrafili zrzeszyć się w społeczności, wspólnie bronić się, wspólnie wytwarzać wartości materjalne i kulturalne. Z postępem kultury zakres pojęcia dobrego i złego rozszerzył się, znalazły się w niem nowe kategorje, rozwijające pierwotne i naczelne pojęcie. Pomaganie bliźniemu w nieszczęściu — to było szlachetne, korzystanie z jego nieszczęścia — nikczemne.

Prawodawstwo oparte na przymusie aż do siły zbrojnej pomagało zakorzenieniu się tych pojęć w opornych duszach ludzkich. Za złe — karano, za dobre — nagradzano.

Ale pięć lat niemieckiej okupacji dokonało w tym stanie rzeczy zupełnego przewrotu. Podstawowe pojęcia etyczne doznały ciężkiego wstrząsu. Posługując się przemyślnym systemem terroru i przekupstwa Niemcy zdołali znikczemnić całe warstwy naszego społeczeństwa.

* * *

Układ socjalny, jaki zastajemy dziś w Polsce, różni się wydatnie od przedwojennego. Niemcy bestjalsko wymordowali Żydów po uprzedniem ograbieniu ich w ghettach.

Rzeź ta wytworzyła w społeczeństwie lukę. Warto zanalizować dokładniej, w jaki sposób w ciągu tych lat luka ta zapełniała się. Już odrazu jednak widać, że nie wszystkie warstwy żydowskie zostały równomiernie zastąpione.

Żydowskich lekarzy, dentystów, adwokatów — nie zastąpił Polak. To samo się stało z rzemiosłem; po likwidacji rzemiosła żydowskiego nie znalazło się dosyć rzemieślników polskich.

Zato jedna warstwa żydowska została pokryta z nadwyżką: kupcy, sklepikarze, hurtownicy, czarnogiełdziarze. Spekulanci.

Przez pół wieku lęgnął się w Polsce rodzimy antysemityzm, tłumaczący wszystkie nasze nieszczęścia narodowe i socjalne obecnością paru miljonów Żydów. Dziś spełniły się marzenia antysemitów. Żydów, jako paromiljonowej warstwy — niema. Mamy nareszcie nasze własne mieszczaństwo.

I otóż to jest najbardziej znamienne. Jesteśmy ubożsi o produkcyjne warstwy żydowskie — inteligentów pracujących i rzemieślników. A pasożytnicza warstwa żydowska została odrazu zastąpiona przez jeszcze gorszą, bardziej zdzierską, bardziej bezwzględną kastę polskich handelesów.

Przyjrzyjcie się tej naszej „nowej" burżuazji. Mieszczuch nigdy nie cieszył się sympatją w literaturze. Ale tak obrzydliwego mieszczucha, jak ten nasz „nowy", przez Niemców wyhodowany — niema nigdzie. Niema i nigdy nie było na całym świecie.

Mieszczuch nasz wyrósł na krwi mordowanych Żydów. W porę dana łapówka któremuś z Niemców — i ma mieszkanie po Żydach i graty. Sprytnie przeprowadzony szwindel, dziesięciokrotne zdzierstwo, chamska bezwzględność, spekulacja, szantaż — to drogi, któremi doszedł do swej dzisiejszej sytuacji. U podstaw wszelkiego majątku leżą czyjeś łzy, czyjaś praca. Ale majątki naszego „nowego" mieszczaństwa są zbudowane na krwi.

Zajrzyjcie w mózg takiego mieszczucha. Funkcjonują tam tylko te struny, które zahaczają o szybki, natychmiastowy zysk. Żadne inne pobudki wylęgnąć się w nim nie mogą. Żadnych skrupułów, poza fizycznym strachem. Żadnych popędów, poza czystą fizjologją.

Czy potrzebna mu książka? Chyba na podpałkę. Czy potrzebna mu Polska? Nie, bo zanim się ją zbuduje — trzeba pracować, a za Niemców i bez pracy miał się dobrze.

Uczciwi, przedwojenni antysemici — spójrzcie na tych panów. Czy nie odnajdujecie w nich cech, przypisywanych przez was Żydom? Tych samych cech, tylko wyolbrzmionych, nienaturalnie rozrosłych pod wpływem gwałtownego stawania się handelesem, mieszczuchem. Czy nie pora wam, panowie uczciwi antysemici, stać się „antymieszczuchowcami"?

Oczywiście, ta klasa polskich handelesów jest stosunkowo nieliczna. Ale warunki, które ją zrodziły, oddziaływały także na inne warstwy i wszędzie zostawiły takie lub inne ślady.

Podstawowe pojęcia etyczne uległy poważnym przesunięciom. Zło dziś znaczy co innego i dobro — co innego niż przed wojną.

Kradzież — to było zło. A dziś kradzież nie wszystkim wydaje się złem. Za Niemców okradywanie państwa niemieckiego było dobrem. I nie wszyscy w porę zrozumieli, że dziś mamy swoje państwo.

* * *

Burza wojenna zrodziła całą ideologję polityczną opartą na zdradzie. Warto się jej przyjrzeć.

Nigdy naród nasz nie odznaczał się wysokiem wyrobieniem politycznem. Umieliśmy się dzielnie bić i nie umieliśmy myśleć politycznie. Wygrywaliśmy bitwy i przegrywaliśmy wojny.

Ta ciemnota polityczna sprzyjała wyhodowaniu osobliwego tworu, którym jest ideologja rządu londyńskiego.

Polityk, który nie umiał ocenić realnie sytuacji i stosunku sił działających — jest głupi.



Z walk na Pradze. Kościół św. Florjana

fot. Konowałow i Kapustiański

„Londyńczycy" byli dosyć głupi, by całą swą politykę opierać na rachubie na krach Rosji. Jedyny, który trzeźwo to państwo ocenił, Sikorski — został przez kupę pyszałków i głupców zakrzyczany.

„Stanie z bronią u nogi" oparte było na przesłance: Rosja pobije Niemców, a my wtedy uderzymy na Rosję. Spójrzcie, ile jest w tem głupoty! Spójrzcie, ile w tem jest brudu!

Niemcy nas mordują, Niemcy z nas robią naród duchowych chamów i fizycznych niewolników. Jeśli Niemcy zwyciężą — Polska jest wykreślona na wieki z mapy świata.

Rosja jest jedynem państwem, które walczy czynnie z Niemcami. Jeśli ona upadnie, nikt Niemca nie pokona.

A my? A my „stójmy z bronią u nogi". Czekajmy. A jeśli Rosja pokona Niemca — napadniemy — na kogo? Na Rosję.

Taka była ostateczna przesłanka myślowa ideologji „stania z bronią u nogi".

Mówi się, że w polityce niema szlachetności i nikczemności. Jest to trywialna i nieprawdziwa maksyma. To, co w polityce jest głupie — w życiu narodowem jest nikczemne.

Głupi politycy hodowali w umysłach ludzi, bitych przez Niemców, obałamuconych i nieszczęśliwych, brud i nikczemność.

Ta ideologja bardzo się podobała wielu — bo ich rozgrzeszała z ospałości i tchórzostwa. Niech tam ktoś walczy, ktoś ginie. Ja będę siedział spokojnie, będę spekulował i pił, kradł i jadł. Bo „rząd" każe „stać z bronią u nogi".

A potem napadnę z nożem na tego, kto za mnie pobije Niemca, kto mi da wolność.

* * *

Byłoby grubym fałszem twierdzić, że naród nasz całkowicie się zdemoralizował i zdegradował. Niemcy wywarli straszny wpływ, spodlili wielu. Ideologja „londyńska" walnie się przyczyniła do zgłupienia i znikczemnienia społeczeństwa. To fakt.

Ale jednocześnie te straszne warunki sprawiły, że zrodzili się ludzie niebywałego bohaterstwa, niebywałej dotąd ofiarności i poświęcenia. Możemy zanotować tysiące przykładów iście apostolicznego wyrzeczenia się, bardziej niż chrześcijańskiej miłości bliźniego. To także fakt.

Ale ci co nie ulegli rozkładowi „stania z bronią u nogi", ci co nie ulegli pokusie zwierzęcego dobrobytu, ci, którzy nie ulękli się Oświęcimia i męczeńskiej śmierci, ci, co walczyli — ci także wyjdą z wojny ze szczerbami psychicznemi.

Wojna — czy na froncie, czy w partyzantce łamie słabych i hartuje silnych. Ale za ten hart człowiek płaci i to dużo. Bohater, który nie raz zaglądał śmierci w oczy, który musiał wytężyć wolę, nagiąć innych i poprowadzić do zwycięstwa — zapłacił za to nadwyrężeniem pewnych bardzo istotnych cech psychicznych.

Nie tak łatwo stać się bohaterem. I jeszcze trudniej bohaterowi wrócić do „normalnego", pokojowego życia.

Mamy partyzantów, którzy przyczynili się walnie do przełomu wojennego, którzy przyśpieszyli koniec wojny. Mają oni w sobie cechy — jakże polskie! — dawnych, sienkiewiczowskich „zagończyków", dzielnych i nieokiełzanych „watażków". Niejednego z nich Kmicic chętnieby wziął do swojej kompanji i niejeden zakasowałby i Kulwiecia — Hippocentaurusa, i Kokosińskiego, i Rekucia.

A czy łatwo Kokosińskiemu i Rekuciowi poruszać się w zwykłem cywilnem społeczeństwie — o tem mówił już Sienkiewicz.

W mniejszym stopniu, ale podobne zjawiska zajdą i u wracających nie z partyzantki, lecz z armji.

* * *

Zatraciliśmy w znacznej mierze realne poczucie niebezpieczeństwa, grożącego naszemu narodowi.

Jesteśmy dziś nie tem, czem byliśmy przed 5-ciu laty. Jeśli jest jakaś tabela porównawcza poziomu kulturalnego narodów — to dziś w tej tabeli spadliśmy o szereg szczebli w dół.

Straciliśmy setki profesorów uniwersytetu, dziesiątki tysięcy doktorów, adwokatów, inżynierów, nauczycieli. Straciliśmy dziesiątki miljonów książek.

(Dokończenie na stronie 3-ej)

ADAM WAŻYK

WIERSZE

Niektóre z niżej zamieszczonych wierszy ukazały się w zbiorku „Serce granatu", wydanym w 1943 w Moskwie nakładem ZPP. Nakład obecnie wyczerpany.

Kraina

Pięty łaskocze ci pradawna woda,
góry ogromne siwieją u szczytu,
nad morzem obca zamierzchła uroda
daremnie czeka twojego zachwytu.

Nagi jak Adam zamknięty w oprawie
starczej przyrody, badasz kto nadchodzi;
cień się przesuwa po zrudziałej trawie
i może stopa ją czuła odmłodzi.

Ta co ostrożnie idzie górską dróżką,
żwir osypując po zboczu doliny,
nie jest bogunką tych gór, lecz staruszką
przebraną w ciało młodziutkiej dziewczyny —
i tylko uśmiech przywiędły ją zdradza,
a w nim się cierpka młodość nie odradza.

Fatalistycznie wpatrzony w ten uśmiech
na piasku zwijasz się pijany smutkiem,
jak pies bałamut, kiedy połknie trutkę,
wreszcie zastygniesz i zatęsknisz w półśnie —
ty, co w swym kraju byłeś niepotrzebny —
do brzozy białej, że aż prawie srebrnej.

Krym 1941

Trzecia jesień

Tam napewno za oknem jesień liści złotych,
trzecia jesień od czasu, jak wyszedłeś z domu,
i nad stołem, gdzie jeszcze nie ostygł twój dotyk,
tam żona, od niechcenia, jakby pokryjomu

pochyla się nad książką, która wciąż otwarta,
niedoczytana leży... Gdzieżeś się zapodział?
Już idzie trzecia jesień i zagięta karta
wzdycha: miły, czas skończyć przerwany nasz [rozdział.

Więc powróć i obejmij rękami obiema
ten ciepły słup powietrza, wchłoń je do ostatka...
Rozchwiane twoje okno i naprawdę niema
twojej żony, tam tylko jest czarna zagadka.

Jedynym twoim domem jest ta jesień rdzawa,
zamieć liści potrzykroć nad tobą zawisła,
to szumi popiołami zdmuchnięta Warszawa,
to podpływa do stóp twych nieznieimczona Wisła.

Jest tylko jesień nasza, jesień wojująca,
nie ta, co osypała się po świeżych tropach
klęski, i nie ta druga, która liście strąca
żałobne, ale wściekły, ogromny listopad

nadziei, buchający ogniem, zamiast złota,
insurekcją parzących nadwiślańskich liści,
błogosławionym gniewem, kiedy klątwę miotasz
i zaciskasz na cynglu palec nienawiści.

Listopad 1941

Kłótnia ze śmiercią

W Tatarji, porzucony przez fałszywych przyjaciół,
siedziałem na kamieniu nad cichym nurtem Kamy,
gdzie obraz mój stargany ostatnie ciepło tracił,
kłóciłem się ze śmiercią, że nie tu się spotkamy.

Zanim rzeka zamarzła, o tej porze fatalnej,
słowem obcem i groźnem ścigany — l o d o k o ł e m,
ja — pasażer na gapę w osowiałej bawialni
wyrwałem się na statku wołżańskim i wpłynąłem
do mroźnego Kazania i do sali szpitalnej.

Stoczyłem się w gorączkę, a na przestrzeni wielkiej
na zieleń niepowiędłą, śnieg padał siwą troską,
szli ludzie, jak przekleństwa — tak rzucali butelki
pod gąsienice czołgów i ginęli pod Moskwą.

Nie dla mnie śmierć walecznych, drażniących ją okrzykiem,
dla mnie sala szpitalna i gorycz wyobraźni
w zlodowaciałych parkach, w ciepłuszce nad piecykiem,
wśród cierpliwych Uzbeków śpiących w przedsionku łaźni,
dla mnie słowo ubogie, nieprzełamane z nikim,
słodki uśmiech Rosjanki w niewyraźnej przyjaźni.

Tylko w pustej rozgłośni, kiedy wołam do kraju,
w zielonym Saratowie czy nocą w Kujbyszewie,
do tych, co milczą, głowę przechyliwszy — słuchają
na szubienicach, wołam i spopielam się w gniewie.

Przez jakiekolwiek miasta przejdę bezdomną stopą,
będę dźwigał ruiny wtulone w cień powieki,
i gryzący słup kurzu, mój głos nad Europą,
i obraz swój nieludzki, czerpany z obcej rzeki,
aż powrócę do śmierci, jak się wraca z urlopu.

1941-42

Zwierzenia

To nieprawda, że zjadłem rozumy,
nim doszedłem do lat dziewiętnastu.
Zasłuchany w wiosenne poszumy,
rodzinnemu dziwiłem się miastu.

W nowe barwy, w nagłe skojarzenia
uwikłany, nieprzytomny chłopak —
ilem rzucał na trotuar cienia,
tylem prochu w tem mieście ukochał.

Dzień witając furkotem rolety,
gestem w oknie i słowem niedbałem, —
nauczyły mnie mądre kobiety,
że nie zawsze się gardzi banałem.

Nauczyli mnie starcy i dzieci
nie pomiatać prawdą tautologji,
że wiatr wieje i że księżyc świeci, —
czegóż więcej mnie nauczyć mogli?

Wiele rzeczy się prostych uczyłem,
alem ciebie jedyna, zapomniał,
miejska wiosno, latająca pyłem,
i pył opadł, a rozum zogromiał.

Gdzie jest miasto, co stało nad Wisłą?
Nie mów, serce, żem skrycie je kochał,
Pociskami się serce rozprysło
w kaleczonych, wrzeszczących obłokach.

Może jednak powrócić się zdarzy
z wieloletniej śmiertelnej mitręgi,
aby w mieście zielonych cmentarzy
wyspowiadać się tym, co polegli...

Poczuć wiosnę i zdziwić się miastu,
i twojego przerazić się gestu,
muzo, muzo mych lat dziewiętnastu,
smutna żono moich lat trzydziestu.

1942

Spojrzenia

Oczy zwierzęce czuwają w lasach,
sarny wychodzą na skraj polany,
patrzą, jak zwolna w mieście dogasa
pożar nieznany.

Zadziwiający zwierzęce oczy
stos się ponawia w chmurne wieczory —
z ogniem w źrenicach sarna uskoczy
głęboko w bory.

Po nocach gwiazdy świecą, jak sarnie
oczy utkwione w pogorzelisku,
aż je ktoś zaćmi, kto kraj ogarnie
okiem pocisku.

Kwiecień 1943

Dzieje

Ci co zginęli w murach Warszawy,
ci co zginęli na Westerplatte,
ci dali życie nie za nic.
Ci co polegli w śniegach Narviku,
ci co polegli w piaskach Tobruku,
ci nie polegli za nic.

Ci co wołali „merde" w Bir-Hakeimie,
ci co topili statki w Tulonie,
do tamtych byli podobni.

Ci, którzy niegdyś padli w Madrycie
i którzy wzięli pierwszeństwo śmierci,
do wszystkich byli podobni.

Ci co bronili murów Odessy,
ci co bronili Sebastopola,
bronili siebie i nas.
Tam gdzie się Wołga zbliża do Donu,
tam gdzie się gruzy Stalingradu świecą,
tam ocalono nasz dom.

Marzec 1943

Gdzie sosna wielka

Quo pinus ingens albaque populus
HORACY

Gdzie sosna wielka i biała topól,
gdzie świszczy w uszach wiatr nadwiślański,
tam w młodość wczesną zapadł jak w topiel
wiersz horacjański.

I trwał, jak niegdyś na dnie stuleci,
i po dwudziestu latach mnie doścignął:
stoi przedziwna topola, świeci
sosna trwałości.

On przeżył dom mój, w godzinę trudną
przekroczył śmierć i nienawiść pojął,
to on mnie wywiódł za rzekę siódmą
i pamięć moją,

zanim obnażył w łacińskiej sośnie
i dał w antycznej dojrzeć topoli
rzecz nadwiślańską, co trwa i rośnie —
i trwa, i boli...

Kwiecień 1943

Doświadczenie

Ja też się zrywam w nocy i wołam,
i widzę miasto,
urodę ulic, szarą, kamienną,
a w niej — liściastą;
tam otulone ciepłym popiołem
groby na skwerach,
i tam najdroższe, złączone ze mną
serce umiera.

Niech sobie w noc tę ktoś psalmy rzuca
w łoskot ciemności,
niech ręce składa, zastyga w pomnik
w bronzach przeszłości,
niech się ten drugi z losem wykłóca
o udział mniejszy,
miły mi ten, kto głos wyogromni —
o grom dzisiejszy.

Kwiecień 1943

Na śniegu

Gdzie jesteś wierzbo? Pod niebem głuchem
ziemia się kończy śnieżnym wydmuchem,
wiatrem zachodnim przejęci ostro,
szukamy ciebie, płacząca siostro,
najbliższa wierzbo polska, nieznana,
usłysz wołanie, wystrzał z nagana.
Śnieg oszołomi nas krwią ceglastą,
stanie na śniegu wiadome miasto,
wyjrzą ukryci w lasach, namiętni,
i odczytywać będą pamiętnik,
z lasów i ciemnic wyjdą omackiem
z przekleństwem polskiem i partyzanckiem,
a myśmy uszli pod obce nieba,
dzień nam się dłuży jak dzień bez chleba,
siostro najdroższa, chwilo najbliższa,
usłysz za śnieżnym wydmuchem wystrzał
z ciężkiego działa. Śnieżne olbrzymy —
dłonie zwijamy w trąbkę, krzyczymy.

Front na Smoleńszczyźnie 1944

Czuwanie

Trzydziestokilkuletniemu wypada widzieć jasno,
jak się prawują pociski, jak nocą w głębokim krysztale
wirują czasy i losy, miotły ogniste gasną
nad ośnieżoną równiną, zanim ruszymy dalej.

Im bliżej kraju, tem dziwniej; w piersi niepokój się wzmaga —
jest w mieście ruin i wspomnień uliczka, którą kochałem,
tam pies odpowie jak echo, kiedy zaszczeka mój nagan,
dziewczyna wyjdzie z ukrycia okrzyknąć mnie słowem zdziczałem.

Dlatego ta biała równina w świetle pocisków, nim zgasną,
rozciąga się, jak rozłąka nieogarnięta pociskiem.
Ty, która jesteś oddechem, wejdź i przekaż mi hasło
w zawianej śniegiem ziemiance na wielkiej ziemi rosyjskiej.

Front na Smoleńszczyźnie 1944

Ruiny Biełgorodu

Nie na piaskach pustyni, lecz w uścisku zieleni
obumarłe widziałem miasto —
białe mury w dziesięciu tysiącach przestrzelin
poślubione leniwym chwastom.

I dziewczynę widziałem pod murami bez wnętrza,
przez rozbite czołgi niemieckie
szła objęta słodyczą wiosennego powietrza,
była snem, a ja byłem dzieckiem...

I wołałem, że mury się nagle zapadną,
wołając wyciągałem ręce
pod rozbitych bram łukiem, pod zwycięską arkadą,
gdzie spokojnie biło jej serce.

O, jak dobrze jest widzieć w białem mieście [umarłem
cmentarze rdzawego żelastwa!
Ja żelazo popsute z twardej ziemi wydarłem —
była na niem krew mego miasta.

1944

Nike

Żołnierze maszerują przez most pontonowy,
spodem płynie żółtawa najprawdziwsza Wisła.
Za mostem na przyczółku stoją pierwsze groby
tych co przyszli znad Oki, ubożuchna ziemia
otuliła ich płachtą piachu i milczenia,
pociskiem o nich gada w noc artylerzysta.

Rzeki płyną za nami, przepływają dzieje,
myśmy w rzekach dalekich poili nadzieję,
niecierpliwiśmy pchali w wiosenne roztopy
koła dział, w obcej glinie odciskali stopy —
każda rzeka za nami w pamięci piękniej.

W ziemiance koło świecy mój automat drzemie
i cień mój czuwający chciałby wrócić we mnie.
Nie powracaj przed najściem różowej jutrzenki,
śpij słodko na mej pryczy, posągu bezręki,
koc żołnierski rzuciłem na twą pierś kobiecą,
na twe skrzydła zwinięte, które jutro wzlecą.

Wrzesień 1944

(Dokończenie artykułu ze strony 1-ej)

Na dobitkę ci, co przeżyli, ponieśli szkody moralne, o których mowa była poprzednio.

A przecież wojna nie jest skończona i Niemiec dziś z większą niż dotąd zaciętością niszczy co najcenniejsze w naszym narodzie. Gnilne zaś idee, zasiane przez niego i przez rodzimy faszyzm, istnieją nadal i rozkładają dalej nasze społeczeństwo.

Trzeba się wyzbyć iście polskiego, na słodkich , lecz nierealnych marzeniach opartego optymizmu. Jeszcze sprawa nie jest przesądzona. Jeśli głupców i nikczemników nie okiełzna się w porę — możemy ponieść dalsze straty, tak duże, że może śmiertelne.

Nie może istnieć państwo, którem rządzą głupcy. Głupcy, którzy za cel sobie stawiają wojnę z obu sąsiadami, silniejszymi wielokroć od nas.

Nie może żyć naród, w którym istnieje cała warstwa, wyrosła na zbrodni, na krwi, w którym pokutują poglady, usprawiedliwiające morderstwa niewinnych, rabunek i zdradę.

Głupców do rządów nie dopuścimy. Ale trudniej jest wykarczować nikczemność, która poraziła dusze wielu.

* * *

Tutaj właśnie zaczyna się istotna rola literatury. Musi ona stanąć na czele odbudowy psychicznej narodu. Podstawowe pojęcia etyczne muszą wrócić do równowagi, muszą odzyskać tę treść, którą mają we wszystkich narodach kulturalnych.

Literatura działa przez poznanie. Pisarz powinien z maksymalną dokładnością pokazać narodowi te ruiny psychiczne, które zostawili po sobie wojna i okupant.

Literatura to świadomość narodów. Musimy sobie uświadomić czem jesteśmy. Nie bójmy się prawdy, choć jest ona ponura. Tylko uświadamiając sobie niebezpieczeństwo nam grożące, możemy się spodziewać, że je przezwyciężymy.

Unikajmy kłamstwa, koloryzowania, przemilczania. Kłamstwo jest nieskuteczne. Są pisarze, którym się zdaje, że jeśli będą wmawiać ludziom, że są szlachetni i mądrzy — to tamci naprawdę takimi się staną.

Jest to taktyka krótkowzroczna. Zabija artystę, w czytelniku zaś zabija wiarę w literaturę. Literatura na tej drodze dochodzi do szablonu, zdolnego do oddziaływania tylko na najciemniejszych.

Przemilczanie jest także kłamstwem, tylko wstrętniejszem, bo opartem na hipokryzji. Pisarz przemilcza rzeczy nieprzyjemne, a sobie samemu wmawia, że nie skłamał. Ktoś, zwiedzając Majdanek, szczegółowo opisze klomby przed barakami i przemilczy całą resztę. Ten typ kłamstwa ostatnio bujnie się rozwinął.

* * *

Nie pozwólmy, by nam dyktowali swą wolę ludzie spoza literatury, ludzie na niej się nie znający. Trzymamy w ręku delikatne narzędzie, którem operowania uczyliśmy się lata i dziesiątki lat. Laik może nam radzić, ale nie może nakazywać, jak żaden urzędnik nie może rozkazać chirurgowi, jaką i jak ma prowadzić operację.

Sumienie artysty i wyczucie prawdy artystycznej — to tylko może na dalszą metę określać rozwój sztuki.

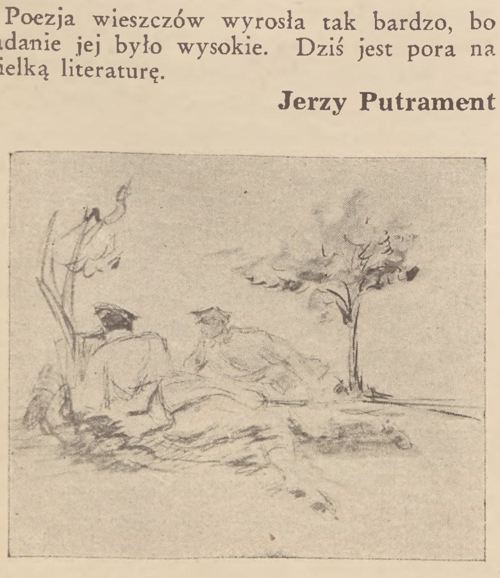
Ale artysta musi pamiętać, że żyje w społeczeństwie i dla społeczeństwa tworzy. Literat bardziej niż malarz czy muzyk związany jest z narodem, z jego językiem, jego historją, jego losami. Nie może być takiej dziwacznej izolacji literatury, jak to było przed wojną. Pod niemiecką okupacją zdarzało się, że poeci pisali całe tomy wierszy, w których ani półsłówkiem się nie odbiła straszna rzeczywistość Polski. Może to są dobrzy poeci, ale napewno niedobrzy ludzie.

Jesteśmy dla społeczeństwa, nie istniejemy poza niem. Ale jesteśmy dla społeczeństwa poto, aby je kształtować, wychowywać, prowadzić za sobą.

Miejmy ambicję wpływania na losy narodu. Nie bójmy się „rządu dusz". Poezja wieszczów uratowała naród. Dziś sytuacja jest groźniejsza i zadanie literatury bardziej ważne niż kiedykolwiek.

Poezja wieszczów wyrosła tak bardzo, bo zadanie jej było wysokie. Dziś jest pora na wielką literaturę.

Jerzy Putrament



Na pozycji

rys. Al. Rafałowski

ROMAN WERFEL

DROGI NOWEJ EUROPY

Wojna jeszcze trwa. Dopiero rozpoczynają się wielkie zmagania jesienne, które — wierzymy w to wszyscy — uwolnią ludzkość od hitlerowskiej zmory, przyniosą koniec wojny w Europie. Dopiero rozpoczyna się bitwa o Ren, bitwa o Wisłę, bitwa o środkowy i górny bieg Dunaju.

Jednakże już dzisiaj narody Europy myślą o przyszłym pokoju. Ma to swe głębokie uzasadnienie. Bestja hitlerowska jeszcze żyje — ale wyrok śmierci, wyrok bezapelacyjny, wyrok nieodwołalny jest dla niej już podpisany. Godzina ostatecznego szturmu zbliża się dopiero — ale kolumny szturmujących już stoją w pogotowiu, ale rezultat ostateczny tego szturmu jest już jasny, widoczny dla każdego. Niedaleki jest czas, kiedy pod Brandenburger Tor i szeroką aleją Unter den Linden (albo też miejscem, gdzie w tej chwili znajduje się jeszcze Brandenburger Tor i Unter den Linden) przemaszerują pod warkot bębnów armje antyhitlerowskiej koalicji, przemaszerują żołnierze polscy, sowieccy, angielscy, amerykańscy, francuscy, czescy, żołnierze wszystkich narodów sprzymierzonych. I właśnie dlatego myśl nasza, myśl wszystkich narodów Europy wraca wciąż do pytania: jak wyglądać będzie Europa nazajutrz po zwycięstwie nad hitleryzmem?

Wojna 1939 r. zaskoczyła większość narodów europejskich. Mimo wszystkich ostrzeżeń przygniatająca większość wolała wierzyć w zaklęcia monachijskich cudotwórców, niż w przykrą, twardą prawdę o konieczności wytępienia hitlerowskiej szajki. Dopiero niemieckie bomby, dopiero brutalny cios niemieckiej kolby uświadomił tej większości realny stan rzeczy. Ale zaskoczone raz narody nie chcą być zaskoczone po raz drugi, nie chcą, aby pokój był tylko kolejnem, krótkotrwałem zawieszeniem broni.

Rzecz jasna, niewiadomych jest jeszcze wiele. Pod ciśnieniem niemieckiej okupacji dokonały się w narodach ujarzmionej Europy skomplikowane procesy przemian psychicznych i społecznych, których zasięg dopiero teraz zaczyna się ujawniać. I te narody, które w zasadniczej swej masie pozostały wolne od hitlerowskiego jarzma, przeszły w tym okresie dziejowej próby przemiany równie daleko idące. A jednak w tem równaniu o bardzo wielu niewiadomych zaczynają się już zarysowywać pewne możliwości rozwiązań. Wyłaniają się pewne podstawowe linje rozwojowe, pewien szkielet przyszłej, powojennej, pohitlerowskiej Europy.

Spróbujmy nakreślić kilka podstawowych tendencyj rozwojowych, krystalizujących się już wyraźnie w pozornym chaosie sprzecznych prądów i kierunków.

JEDNOŚĆ MOCARSTW DEMOKRATYCZNYCH — JEDNOŚĆ JUTRO I DZIŚ

„Uznajemy całkowicie wielką odpowiedzialność, ciążącą na nas i na wszystkich narodach zjednoczonych za urzeczywistnienie takiego pokoju, który uzyska aprobatę przytłaczającej masy narodów kuli ziemskiej" — głosi deklaracja teherańska, podpisana przez Teodora Roosevelta, prezydenta Stanów Zjednoczonych, Józefa Stalina, premjera ZSRR, Winstona Churchilla, premjera Wielkiej Brytanji.

Te słowa to stwierdzenie faktu dnia dzisiejszego i zarazem zapowiedź rzeczywistości dnia jutrzejszego. Te słowa — potwierdził je zresztą przebieg wydarzeń, który minął od ich napisania — to twarda, stanowcza odpowiedź na wszystkie goebbelsowskie — i nie tylko goebbelsowskie — próby rozbicia solidarności trzech mocarstw koalicji antyhitlerowskiej, podważenia tej solidarności w przyszłości.

Koalicja antyhitlerowska, wiemy o tem dobrze, nie zrodziła się odrazu. Między podstawowemi jej ogniwami — Związkiem Radzieckim a mocarstwami anglo-saskiemi — istnieją głębokie różnice. Związek Radziecki to państwo socjalistyczne, rządzone przez partję komunistyczną, Anglja i Stany Zjednoczone to kraje kapitalistyczne, nawet kraje wielkiego kapitału. W Anglji dominuje dotąd partja konserwatywna, partja premjera Churchilla, partja stojąca z całem przekonaniem na gruncie kapitalizmu. W Stanach Zjednoczonych — obóz rządzący prezydenta Roosevelta, pomimo wszystkich swych reformatorskich tendencyj, również nie porzuca tego gruntu. Są to różnice światopoglądu, systemu gospodarczego, nawet temperamentu.

Umiejętnie grał na tych różnicach Hitler przed 1939 rokiem (pomagał mu przytem zresztą niezgorzej Józef Beck). Pamiętamy, jak w ostatnie lata przedwojenne Trzecia Rzesza przy pomocy grup reakcyjnych Zachodu zdobywała bez walki pozycję po pozycji. Pamiętamy, jak Winston Churchill razporaz podnosił głos przeciw polityce kapitulacji wobec Hitlera, jak Teodor Roosevelt z dalekiego Washingtonu ostrzegał przed ustępstwami dla Niemiec. I pamiętamy, jak inni — symbolem ich stała się osławiona „klika Cliveden" w Anglji — umieli torpedować każdą próbę stworzenia jednolitego frontu pokoju, zjednoczenia wszystkich sił antyhitlerowskich — aż było za późno.

Hitler umiał ocenić usługi oddane mu przez te grupy. W przeddzień napadu na Sowiety próbował raz jeszcze zagrać na starym instrumencie. Hess, rzekomo z własnej inicjatywy, wylądował w Anglji.

Nie udało się. W Anglji rządził już Winston Churchill. Hess znalazł miejsce nie w ambasadzie, ale w kryminale. W kryminale znalazł się i jego kolega, angielski „führer" Mosley. Jednolity front mocarstw demokratycznych, który, stworzony na czas, mógł był uratować pokój świata, zrodził się — lepiej późno niż nigdy — na polach bitew wielkiej, sprawiedliwej wojny o wolność świata. Stwierdzeniem tego jednolitego frontu są słowa teherańskiej deklaracji.

Stany Zjednoczone, Sowiety i Anglja mówią nam w tej deklaracji: różnimy się od siebie w wielu rzeczach. Ale wiemy zarazem, że łączy nas wspólna wiara w wolność człowieka, wspólne dążenie do złamania hitlerowskiej agresji, wspólna wola utrzymania i zachowania sprawiedliwego pokoju na długie, długie lata w przyszłości. To, co nas łączy, jest dla nas ważniejsze od tego, co nas dzieli. I w imię tego, co nas łączy, chcemy razem bić się i razem, po zwycięstwie, organizować pokój świata.

Kiedy ta zapowiedź padła po raz pierwszy z Teheranu, wszystkie organy Goebbelsa przyjęły ją orgją szyderstwa. Hitlerowskie skryby zapisali nieskończoną ilość papieru, byle wykazać, że jedność mocarstw demokratycznych jest fikcją, jest niemożliwością, jest nonsensem. Ile to razy gadzinówki niemieckie trąbiły o nieprawdzie Teheranu, o konfliktach i tarciach w łonie koalicji antyhitlerowskiej!

Rzeczywistość zaprzeczała konsekwentnie, systematycznie i bezlitośnie tym hitlerowskim zapewnieniom. Przyszły zapowiedziane druzgocące ciosy ze wschodu, południa i zachodu. Dziś nawet sam Goebbels nie mówi o pęknięciu koalicji antyhitlerowskiej, tylko żałośnie przepowiada wszelkie możliwe nieszczęścia, jakie mogą wyniknąć dla — Anglji z klęski, poniesionej przez tych, co chcieli Londyn zrównać z ziemią. Jedność koalicji antyhitlerowskiej w chwili obecnej jest faktem bezspornym. Jedność koalicji antyhitlerowskiej okaże się takim samym faktem i jutro, w dobie odbudowy, w dobie organizacji świata powojennego.

Okaże się, bo odpowiada nie tylko interesom pokoju, nie tylko interesom wolności, nie tylko interesom demokracji, ale także własnym, gospodarczym i politycznym interesom trzech głównych mocarstw demokratycznych.

Anglja i Ameryka nie mają żadnych istotnych interesów politycznych, które stawiałyby je w konflikcie z Sowietami. Ameryka interesuje się przedewszystkiem półkulą zachodnią. Anglja to wielkie imperjum morskie, dla którego wschód Europy stanowi stosunkowo odległe kresy. Sowiety — olbrzym w toku przebudowy — potrzebują przedewszystkiem jak najdłuższego okresu trwałego bezpieczeństwa. Konflikt między mocarstwami musiałby być połączony z olbrzymią szkodą dla każdego z nich. Niema żadnej rozsądnej przyczyny dla któregokolwiek z nich, by zdecydować się na taki konflikt. Niewątpliwie między mocarstwami mogą istnieć i istnieją źródła tarć, rozbieżności interesów, mogą powstawać i będą powstawać takie czy inne częściowe zatargi. Ale ponad niemi dominuje i dominować będzie interes wspólny, interes zachowania pokoju, interes pokojowej organizacji świata.

Działać będą w tym kierunku przedewszystkiem czynniki gospodarcze. Ameryka i Anglja rozbudowały poważnie swój przemysł w toku tej wojny. Przemysł ten pracuje dziś na potrzeby wojny. Na co będzie pracował jutro? Mocarstwom zachodnim grozi po wojnie straszliwe bezrobocie, jeśli nie znajdą pojemnych rynków zbytu dla tego rozbudowanego przemysłu. Takim rynkiem mogą stać się Sowiety — olbrzymi kraj w stadjum wielkiego budownictwa, Sowiety, które dziś są dostatecznie samowystarczalne gospodarczo, by móc bez obaw o swą niezależność gospodarczą nawiązać jak najściślejsze stosunki gospodarcze z Zachodem, a dostatecznie chłonne, by móc przyjąć bardzo znaczną część produkcji Anglo-sasów, jeśli ta produkcja zostanie im zaoferowana na odpowiadających im warunkach. Drugim takim rynkiem mogą być Chiny, ale i one mogą być odbiorcą tylko przy porozumieniu Anglo-sasów z Sowietami, z któremi Chiny graniczą na olbrzymiej przestrzeni i ku którym ciążą poważne odłamy społeczeństwa w Chinach.

Względy gospodarcze przemawiają całkowicie za utrzymaniem jedności koalicji antyhitlerowskiej po wojnie. Niema względów politycznych, któreby wymagały jej zerwania. Względy ogólnoludzkie, interes pokoju, interes ludzkości dyktują utrzymanie jedności mocarstw demokratycznych. Jedność ta będzie utrzymana. Będzie utrzymana — wbrew wszystkim chwilowym różnicom zdań, tarciom czy zatargom między mocarstwami. Będzie utrzymana, bo ponad temi różnicami zdań góruje interes wspólny mocarstw — interes powojennej stabilizacji świata, zapewnienia długotrwałego pokoju, który potrzebny jest wszystkim mocarstwom.

Deklaracja teherańska wyciąga konsekwencje z tego stanu rzeczy. Proklamuje ona tę jedność i utrzymanie tej jedności jako nakaz polityczny naszej doby. Goebbels liczył, że storpeduje tę jedność, i oszukał się sromotnie. Oszukają się też inni, którzy marzą o tem samem co Goebbels.

FASZYZM MUSI BYĆ UNICESTWIONY

Jedność koalicji antyhitlerowskiej zawiera określoną treść polityczną. „Faszyzm i wszystkie jego zgubne wpływy i skutki muszą być unicestwione doszczętnie"... — od tych słów zaczyna się „Deklaracja w sprawie Włoch", przyjęta na konferencji moskiewskiej.

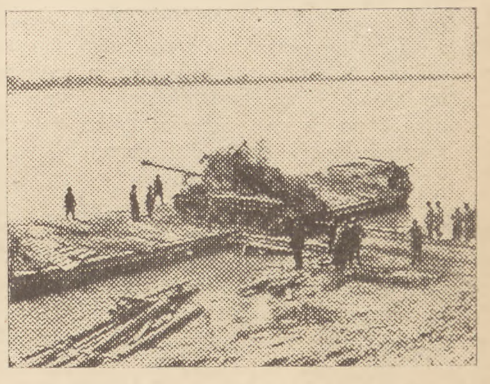
To zdanie to podsumowanie długotrwałej dyskusji, wielomiesięcznych sporów, uporczywej walki kierunków i tendencyj.



NACZELNY DOWÓDCA NA FRONCIE

Na zdjęciu od lewej do prawej: pułk. M. Spychalski, gen. dyw. K. Świerczewski, gen. bryg. Al. Zawadzki, gen. broni M. Rola-Żymierski, gen. dyw. Z. Berling, gen. bryg. W. Bewziuk.

fot. Wł. Forbert



Czołgi przeprawiają się przez Wisłę

fot. A. Forbert

Czy wojna, toczona przez narody koalicji antyhitlerowskiej, kieruje się ostrzem swem tylko i wyłącznie przeciw hitleryzmowi, tylko i wyłącznie przeciw **niemieckiemu** faszyzmowi? Czy też, przeciwnie, toczy się ona przeciw wszelkiej formie terrorystycznej dyktatury reakcji?

Jeszcze niedawno było to zagadnienie sporne, sporne nie tylko w teorji, ale i w praktyce.

Reakcja francuska zdradziła ojczyznę, kapitulowała przed wrogiem, oddała na pastwę Hitlera Francję, przywdziała niemiecką liberję. Ale kiedy okazało się, że szanse hitleryzmu maleją, kiedy krew niemiecka zaczęła płynąć już nie potokami, ale rzekami na polach bitew nad Wołgą, Donem i Dnieprem — wtedy część reakcji francuskiej postanowiła w pełnym biegu „przeskoczyć do drugiego pociągu". Jeden z czołowych ludzi reżymu w Vichy — admirał Darlan, szereg jego najbliższych przyjaciół, jak Peyrouton i Pucheu — schronili się do Afryki Północnej i wypowiedzieli się przeciwko Niemcom.

Tylko przeciwko Niemcom, ale nie przeciw faszyzmowi. Przywódcy faszyzmu francuskiego, organizatorzy obozów koncentracyjnych, mordercy tysięcy francuskich patrjotów, demokratów, socjalistów i komunistów, twórcy „autorytatywnego", antydemokratycznego reżymu petainowskiego — Darlan, Peyrouton i Pucheu — chcieli zachować na uwolnionem od Niemców terytorjum Francuskiej Afryki Północnej wszystkie „zdobycze" hitlerowskiego „nowego ładu". Dosłownie wszystkie — aż do ustaw antyżydowskich, do nielegalności stronnictw i prasy demokratycznej włącznie. Przez dłuższy czas na terytorjum uwolnionem od Niemców trzymali oni w obozach koncentracyjnych tysiące bojowników, którzy walczyli przeciw najazdowi hitlerowskiemu.

Cała reakcja włoska skupiła się dokoła faszyzmu. Król Wiktor Emanuel sam oddał Mussoliniemu rządy Włoch, przyjął z ręki Mussoliniego tytuł cesarza Abisynji. Włoscy książęta, magnaci, hrabiowie kokietowali faszystowskich morderców, wpinając zbryzgane krwią liktorskie rózgi w klapy swych nienagannie wyprasowanych marynarek. Wielkie koncerny włoskie Banca Commerciale czy Montecatini zgarniały miljardy z afrykańskich imprez faszyzmu.

Ale kiedy „Imperjum Afrykańskie" znikło wraz z trupami iluś tam setek tysięcy żołnierzy włoskich w piaskach Sahary, kiedy „czarne koszule" na Sycylji tysiącami zaczęły się poddawać patrolom angielskim czy amerykańskim, wtedy spora część reakcji włoskiej postanowiła zrezygnować z Mussoliniego. Większość Wielkiej Rady Faszystowskiej — z hrabią Grandim na czele — wypowiedziała się przeciw ubóstwianemu do wczoraj „duce" i postanowiła rządzić bez Mussoliniego.

Bez Mussoliniego, ale po faszystowsku. Przebrano w mundury oficerskie lokalnych kacyków faszystowskich. Rozwiązano partję faszystowską, ale zostawiono uczestników „marszu na Rzym" u steru administracji państwa. Utrzymano, nawet zaostrzono zakaz partyj politycznych. Nie zwolniono więźniów politycznych — bojowników demokracji. Faszyzm pod nową etykietą, bez Mussoliniego, ale w gruncie rzeczy faszyzm, stary faszyzm — taka była pierwotna koncepcja tej części reakcji włoskiej, która postanowiła spławić Mussoliniego dla ratowania samego reżymu.

Naród francuski protestował przeciw Darlanowi. Naród włoski protestował przeciw kontynuatorom faszyzmu. Przeciw tolerowaniu francuskich i włoskich faszystów protestował naród angielski i amerykański. Stanowisko narodu, stanowisko ludu wywarło decydujący wpływ na ostateczne stanowisko rządu angielskiego i amerykańskiego. Wyrazem tego stanowiska jest „Deklaracja w sprawie Włoch".

Nie ogranicza się ona bynajmniej do ogólnikowego stwierdzenia konieczności unicestwienia faszyzmu. Precyzuje dokładnie, co należy rozumieć przez unicestwienie faszyzmu. Precyzuje dokładnie, co ma przyjść na miejsce faszyzmu. Deklaracja żąda jasno i niedwuznacznie:

1. likwidacji organizacyj faszystowskich,
2. likwidacji wpływów faszystowskich w administracji państwowej,
3. unieszkodliwienia działaczy faszystowskich.

Ale pozatem deklaracja rozwija również program pozytywny pierwszych kroków odbudowania demokracji we Włoszech.

Tekst uchwały jest jasny, nie dopuszczający żadnych wątpliwości:

1. antyfaszyści mają wejść do rządu i instytucyj samorządu miejscowego;
2. naród włoski otrzyma spowrotem wszystkie swobody obywatelskie, w tem wolność tworzenia antyfaszystowskich (zwróćmy uwagę na to zastrzeżenie: *tylko antyfaszystowskich!*) grup politycznych, wolność słowa, prasy i zebrań.

Deklaracja odnosi się bezpośrednio do Włoch, ale znaczenie jej nie ogranicza się do półwyspu Apenińskiego. Stanowi ona sprecyzowanie, ustalone i podpisane wspólnie przez trzy mocarstwa bloku antyhitlerowskiego, politycznych celów wojny, toczonej przez narody zjednoczone. Ameryka, Związek Radziecki i Anglja mówią nam, mówią całemu światu w tej deklaracji niedwuznacznie, konkretnie, dobitnie, co rozumieją przez zniszczenie faszyzmu, co rozumieją przez odbudowanie demokracji. Odtąd niema miejsca dla Darlanów, niema miejsca dla polityki stosowanej przewrotnie nie tylko we Włoszech.

Francja walcząca odrzuciła darlanizm. Krok za krokiem w uporczywej walce zlikwidowała w Afryce Północnej faszystowskie odpryski Vichy. Zdrajca Pucheu został rozstrzelany na mocy sprawiedliwego wyroku republikańskiego sądu. Peyrouton, Flandin powędrowali do więzienia. Teraz, gdy cała Francja podniosła się do zbrojnej walki o wyzwolenie, — niemieckich sługusów w Vichy potraktowano jak należy. Ustawa o odpowiedzialności karnej Pétaina nie pozostawia żadnych nadziei wielbicielom zdradzieckiego marszałka. Powędrowali do kryminału zdradzieccy admirałowie, finansiści, politycy, policjanci. Wydana została ustawa o pozbawieniu praw politycznych wszystkich niemieckich sługusów. Znowu powstaje we Francji Republika — czwarta z rzędu, oczyszczona z błota; trzecia zginęła już w czyśćcowym ogniu niemieckiej okupacji. Odradza się we Francji duch Jakobinów, duch wojującej demokracji, duch nieprzejednanej walki z reakcją.

Głębokie przemiany zaszły we Włoszech. Wyszły na powierzchnię partje antyfaszystowskie, zapędzone przez reżym w podziemia. Wrócili, objęli ster rządów w kraju wczorajsi wygnańcy: liberał Croce, demokrata Sforza, socjalista Nenni, komunista Togliatti. Ustąpił król Wiktor Emanuel, splamiony współpracą z faszyzmem. Czyści się administrację państwową od mianowańców faszystowskich, pakuje się do kryminału faszystów. Niedawno pierwszego z nich spotkała już zasłużona kara: skazano na śmierć Pietro Caruso, faszystowskiego szefa policji w Rzymie.

Włochy i Francja to tylko dwa przykłady. Ale z faszyzmem kończy się wszędzie, gdzie dochodzą armje wyzwolenia. Leon Degrelle, tak miły ongiś sercu naszego ONR-u, szef faszystowskiego belgijskiego „Rexu" (ostatnio oficer którejś tam dywizji niemieckich SS) ledwo zdołał umknąć z wyzwolonej Brukseli. Gorzej powiodło się jego bułgarskim i rumuńskim odpowiednikom: Antonescu i Filow siedzą pod kluczem wraz z całą swoją kompanją.

Niema i nie będzie w nowej Europie miejsca dla Darlanów, Pétainów, Antonescu, Horthych, Filowów.

Niema i nie będzie w nowej Europie miejsca dla wspólników zbrodni faszyzmu, którzy radziby teraz wyskoczyć z toczącego się w przepaść hitlerowskiego wagonu. Niema i nie będzie w nowej Europie miejsca dla żadnej formy, żadnego odprysku faszyzmu.

LUD NA WIDOWNI

„Zgodnie z twardą wolą narodów Jugosławji powstała nowa Jugosławja, oparta na braterstwie i równouprawnieniu narodowem, ojczyzna wszystkich zamieszkujących ją narodów. Dzięki sukcesom narodowej armji wyzwoleńczej i jugosłowiańskich oddziałów partyzanckich, które w toku swej walki zjednoczyły wszystkie narody Jugosławji, antyfaszystowskie Wiecze Wyzwolenia Narodowego w Jugosławji wyrosło na najwyższego przedstawiciela suwerenności narodów Jugosławji..."

„Prezydjum antyfaszystowskiego Wiecze Wyzwolenia Narodowego Jugosławji wybiera Komitet Narodowy Wyzwolenia Jugosławji".

„Komitet Narodowy posiada wszystkie cechy rządu ludowego i odpowiada za swą pracę przed antyfaszystowskiem Wieczem Wyzwolenia Jugosławji".

Prosto brzmią te zdania, zdania uchwały, powziętej półtora niemal roku temu przez Partyzanckie Zgromadzenie Narodowe w Jugosławji. A jednak w tych kilku wierszach zawarte jest rozwiązanie problemu niezwykle skomplikowanego, problemu, nad którym głowili się przez szereg miesięcy politycy i dyplomaci świata.

Wojna światowa rozpoczęła się w roku 1939. Ale agresja hitlerowska rozpoczęła się znacznie wcześniej. Pochód faszyzmu w Europie trwa nie od 1939 r., i nawet nie od 1933 r. Są całe połacie Europy, na których znacznie przed 1939 r. terrorystyczna dyktatura reakcji pozbawiła obywateli ich praw politycznych, odmawiała narodowi prawa do decydowania o swoim losie. Są całe połacie Europy, na których jeszcze przed 1939 r. słowo „demokracja" było pustym frazesem rządzących lub bezsilną tęsknotą rządzonych. Część rządów tych krajów, pod naciskiem przemożnej opinji publicznej, wypowiedziała się przeciw Niemcom. Z natury swojej nie mogła jednak stanąć na czele wielkiego, ogólnonarodowego ruchu oporu przeciw najeźdźcy. Przeciwnie, hamowała rozmach tego ruchu, wniosła doń stare, reakcyjne uprzedzenia i przesądy. Próbowała swoją norymberską miarką mierzyć uczestników walki przeciw światowej Norymberdze. Ponad głowami tych rządów, nieraz w jawnej, zbrojnej walce przeciwko ich pachołkom, rozwinęła się — jak chociażby w Jugosławji — walka o wyzwolenie kraju, walka z faszystowskim najeźdźcą.

Zrodziło się pytanie: co dalej? Były gdzieś na emigracji stare rządy, pilnie strzegące rytuału swej „legalności", powołujące się na ważność swej (narzuconej narodowi zbrojną siłą wojskowego zamachu stanu) „konstytucji", bojące się panicznie wszelkiej aktywnej walki z najazdem niemieckim. I były — przedewszystkiem w samym kraju — wielkie ruchy oporu, ruchy ludowe, ruchy demokratyczne, ruchy oparte o wszystkie żywe i niepożyte siły narodu, ruchy prowadzące zwycięską walkę z hitlerowską okupacją.

Kogo uznać miały, na kim miały się oprzeć, z kim miały pertraktować rządy mocarstw koalicji antyhitlerowskiej? Z emigracyjnemi „gabinetami figur woskowych", wystawami reakcyjnych mumij, czy z żywymi ludźmi, reprezentującymi różne armje, prowadzące rzeczywistą walkę ze wspólnym wrogiem? Czy siła zbrojna mocarstw koalicji antyhitlerowskiej miała być użyta poto, aby wyzwolonym od brunatnego jarzma narodom narzucić bagnetami ich własnych, minjaturowych Hitlerów i Mussolinich? Czy faszyzm wygnany z Włoch i Niemiec miał znaleźć schronienie w krajach, które walczyły z Niemcami?

Rezolucja Jugosłowiańskiego Wiecze wysunęła jasną koncepcję rozwiązania tego zagadnienia. Przeciw formalnej „legalności" faszystowskich, reakcyjnych dzierżymordów wysunęła ona legalność ludową, legalność rządzącego się własną wolą narodu, legalność walczących o swą wolność mas ludowych. Tę legalność, w której imię ongiś podniósł się przeciw dworskiej kamarylli lud Francji — twórca Republiki. Tę legalność, w której imię 130 lat walczył o swą wolność, wbrew uroczyście podpisanym i opatrzonym pieczęciami aktom rozbioru, naród polski. Obcym konstytucjom klik reakcyjnych, polityków szabli i feodalnych czy finansowo - giełdziarskich tuzów, uchwała jugosłowiańska przeciwstawiła konstytucję, którą sam nada sobie w demokratycznie wybranym parlamencie wyzwolony, suwerenną wolą rządzący się naród.

Kiedy antyfaszystowskie Wiecze w Jugosławji tworzyło Komitet Wyzwolenia Narodowego Jugosławji, w Londynie urzędował jeszcze rząd Puricza: jako minister spraw wojskowych figurował generał Michajłowicz, zaufany b. dyktatora Jugosławji Puricza, wódz „czetników", którzy wespół z Niemcami mordowali antyfaszystowskich partyzantów. Ile jadu zużyła wtedy prasa p. Puricza przeciw Komitetowi Wyzwolenia Narodowego Jugosławji i jego kierownikowi marszałkowi Tito: uzurpatorzy, samozwańcy, agenci obcego mocarstwa — takie były komplementy, sypiące się pod jego adresem. Sporo wody upłynęło od tego dnia po bystrych bałkańskich rzekach. I wiele zmieniło się w Jugosławji. Sojusznicy uznali marszałka Tito — z początku jako wodza armji walczącej z Niemcami, potem jako przedstawiciela Jugosławji. Król Piotr posłał na trawkę p. Puricza. W nowym jugosłowiańskim rządzie emigracyjnym niema ani jednego zwolennika generała Michajłowicza, zasiada natomiast dwóch oficjalnych przedstawicieli marszałka Tito. A Michajłowicz? Głośno stało się o nim znowu, gdy dowiedziano się, że jego syn aż pod bagnetami niemieckiemi szukał ochrony przed własnym narodem...

Zwyciężyła w Jugosławji zasada ludowej, demokratycznej legalności, legalności walki z faszyzmem, przeciw zasadzie faszystowskiej legalności dyktatorskich reżymów z łaski wojskowego zamachu stanu, reżymów odpowiedzialnych jeno przed Bogiem a historją.

* * *

Spróbowaliśmy tylko zgrubsza nakreślić linje zarysowujących się wśród wojennego zgiełku podstawowych tendencyj nowej Europy. *Podstawowych* tendencyj — nie jedynych i nie wszystkich. O dwóch rzeczach pamiętać trzeba przedewszystkiem przy ich rozpatrywaniu.

Po pierwsze: nakreślone przez nas podstawowe tendencje nie realizują się bynajmniej automatycznie, same przez się. Realizują się w walce, wśród tarć i konfliktów. Realizują się, przełamując opór warstw, grup i klik reakcyjnych, związanych z przeszłością, czepiających się tej przeszłości, ustępujących tylko krok za krokiem. Istnieje jeszcze w Anglji klika chamberlainowska, przyjaciele Hessa i Mosleya. Istnieje w Stanach Zjednoczonych klika izolacjonistów, byłych protektorów Hitlera, sympatyków wszelkiej reakcji. *Polityka rządowa* Anglji i Ameryki zerwała z koncepcją tych klik. *Naród* angielski i amerykański wypowiedział się za polityką antyfaszystowską i demokratyczną. Klikom reakcyjnym w Anglji i Stanach Zjednoczonych stanowczo i nieubłaganie sprzeciwia się większość narodu, opinja publiczna, rzeczywistość. Ale samo istnienie tych klik stwarza możliwość zahamowań, wahań, chwilowych trudności. Stąd — uporczywa walka, która towarzyszy każdemu krokowi w budownictwie nowej Europy.

Po drugie: pamiętać trzeba, że główne, uzgodnione już między mocarstwami tendencje rozwojowe nie wyczerpują bynajmniej *wszystkich* zagadnień, przed któremi stanie ludzkość bezpośrednio po wojnie. Pozostają kwestje gospodarcze i polityczne, pozostają zagadnienia odbudowy, zagadnienia dróg do dobrobytu. Zniszczenie faszyzmu, realizacja daleko posuniętej demokracji politycznej pozwala suwerennym narodom rozwiązywać swobodnie te problemy, stwarza przesłanki ich pomyślnego rozwiązania. I znowu: rozwiązanie to trzeba będzie realizować w walce, wśród tarć i konfliktów.

Widma przeszłości zasłaniają sobą chwilami dzisiejsze cele walki, stają na drodze do ich osiągnięcia. Ale ani widma przeszłości, ani problemy przyszłości nie powinny zamazywać w naszej świadomości podstawowej prawdy dnia dzisiejszego.

Idziemy ku Europie, która będzie stała pod znakiem współpracy głównych mocarstw koalicji antyhitlerowskiej.

Idziemy ku Europie, w której faszyzm postawiony będzie poza prawem.

Idziemy ku Europie, w której uznane będzie prawo każdego narodu, prawo mas ludowych do swobodnego decydowania o losie swojej ojczyzny.

Roman Werfel

RYSZARD MATUSZEWSKI

OKNO NA PLAC GRZYBOWSKI

I

Za to okno na plac, gdzie ziemniaczane grzędy
Obrosły gniewną przeszłość — dzięki. Tak zapada
Pomnikiem w ziemię ludu gniew i biel go blada
Okrywa nikłem kwieciem klęski wzeszłej tędy.

Za to okno i plac, gdzie urodzaje warzyw
Wieńczą śmierć nieostygłą w płowych cegieł [stosach,
Za jaskółki, co lotu biczem tną niebiosa,
Obraz piękny, bo ludzkich daje umknąć twarzy,

— Dzięki. Bo z niego siłę mą samotną czerpię,
Gdy ty wzrok w ludziach topisz, mój — w ruinach [zastygł
I w pustce zagubiony śmierć śpiewam, nie życie

Szubrawców ladajakich. I gdy patrzę — cierpię
Mniej widząc wzgardę głazu, niźli bujne chwasty,
Zmarłego miasta posąg, niż żywego gnicie.

II

Patrz! Ten rzucony gniewną ręką ludu kamień
Nosi datę: tę datę gniew ludu przypomni!
Lecz nim szepnie kamienny — „na inną ją zamień"
— Zawstydzeni klękajcie przed głazem potomni!

Stąd wzbił się i skałami powiał wicher bruku!
To nic, że dzisiaj płytę jara ziel zarasta!
Stąd jak z celi, w więziennych alfabetów stuku,
Lud szturmował do głucho zawartych bram [miasta!

Aż na miasto i Polskę szeroko się otwarł
Plac jak okno w salw huku i nahajek świście,
Imiona wróżąc: Baron, Mirecki, Okrzeja...

I dziś, gdy po nim kroczysz ty, coś jeszcze dotrwał,
Czy słyszysz jak wawrzynem szumią placu liście,
A echo śpiewa — Wolność, Równość i Nadzieja?

Warszawa, 1943 r.

* * *

W pierwszym numerze „Odrodzenia" z dnia 3 września 1944: **Juljan Tuwim:** Modlitwa. — **Jerzy Putrament:** Toast. — **Jerzy Putrament:** Święta kulo. — **Jacek Bocheński:** Polska bezgraniczna. — **Juljan Przyboś:** Póki my żyjemy. — **Mieczysław Jastrun:** Pamięci straconych. — **Leon Pasternak:** Kazań. — **Adam Ważyk:** Przyjście. — **Zofja Bystrzycka:** ***— **Stanisław Baliński:** Ojczyzna Szopena. — **Lucjan Szenwald:** W szpitalu. —**Janusz Minkiewicz:** Pozory życia artystycznego w okupowanej Warszawie. — **Stanisław Jerzy Lec:** Pod lotniskiem wroga. — **Antoni Słonimski:** Sąd.— **Kazimierz Andrzej Jaworski:** ***. — **Jan Huszcza:** Tęsknota za powieścią. — **Janusz Minkiewicz:** Od Czechowicza do Szenwalda. — **Zbigniew Piotrowski:** ***. — **Zygmunt Kałużyński:** Odradza się życie kulturalne. Wieczór literacki w Teatrze Miejskim w Lublinie. — **Władysław Broniewski:** Wiersze jerozolimskie. Via Dolorosa. — **Stanisława Zakrzewska:** Wolność. — **Zygmunt Kałużyński:** Zapolska na scenie lubelskiej. — **Jerzy Bossak:** Pierwsze spojrzenie. — 15 ilustracyj (w tem 2 rysunki J. Krajewskiego i 7 rysunków Al. Rafałowskiego). — Lista strat. — 8 stron.

MIECZYSŁAW JASTRUN

SEN NOCY ZIMOWEJ

Gałązki szronu drżą, skostniałe palce.
Słychać stąpanie ciszy po marmurze —
W Łazienkach noc, wciąż pierwsza noc po walce,
I księżyc w chmurze.

Umarli z głodu, żywcem pogrzebani, umęczeni
Tu w tę noc jedną schodzą się przy szumie
Drzew oszronionych. W ich cierniowym tłumie
Pali się jeszcze blask zeszklałych źrenic
Jak w szyb rozbitych odłamkach. Ich ręce
Szukają jeszcze pokarmu i wody;
I drzew gałęzie jak schodów poręcze
Wspięte nad nimi.

Tutaj się schodzą duchy tej okrutnej zimy,
Darmo pragnące powrotu do życia.
Jakżeby dobrze było w cieple domów,
Rozgrzanych brzękiem potraw i napojów,
Siąść jeszcze raz.

Wracajmy do złotych pokojów!
Klaszczmy w zziębnięte dłonie i gorące szklanki!
Przywiedźmy dźwięk daleki pszczelnych rojów,
Zapach rozgrzanej ziemi, słodycz, słoność,
Symfonje nocy letnich i poranki
Czystsze, jaśniejsze od wody do picia...

Żywi przechodzą obok, w ciężkich futrach,
W skórach zwierzęcych, ośnieżone zmory,
Huczą w powietrzu ich pojazdów pudła,
Parują konie i chrzęszczą motory.
Idą, przenoszą krokami ulice,
Znają na pamięć gwiazdy i cukiernie,
Zdrewniałe pole miejskiej szachownicy
I gry regułę, powtarzaną wiernie.
Inni, wbijając w bruk martwe źrenice,
Imiona zmarłych powtarzają codzień,
Krążą jak widma w tym zaklętym grodzie.

Gdy cienie ich na śniegu elizejskim
Tupią, chcą z ramion uczynić wiatraki,
Próbują stąpać dawnym krokiem miejskim,
Napróżno! Tylko widma, tylko ptaki!
Jakaż być może inna praca duchów
Nad to, aby się znowu ucieleśnić?
Gdy my brzęczymy w ciałach jak w łańcuchach
I zasypiamy, by odpocząć we śnie.
Nieodrobiony czas z wrzącej komory
Serca jeszcze nie wyciekł doostatka,
I ciemność nocna jest jak chwiejna kładka
Między gorzkiemi murami Gomory.
O, ptaki nocne, stadem spadające
Na ruin niezagojonych zwaliska,
O płatki śniegu jak o chleb proszące,
O okruszyny, o krople napoju,
Ale nie napoiłaby was Wisła,
Chleb ziemi głoduby nie zaspokoił.

O świcie otwierają się piekarnie,
O ciemnym jeszcze świcie niebo bucha
Przez czerwień pieców. Ciążą bochny czarne,
Lśniące, o gładko utoczonych brzuchach,
W kaflowej kuchni kipią garnki mleka
I jak flet komin zawodzi nad dachem —
Gdzieś zabrzęczały bańki, pies zaszczekał.
I śnieg obsunął się z okiennej blachy.

Wracają w urnach do swych dawnych domów,
W grobowce z cegły.
Tam ich przyjmują w łona dawnych domów
Matki płaczące.

Już zapomnieli o krwi, o łzach słonych.
Ściany milczące
Będą jak sarkofagi faraonów
Ich ciszy strzegły.

Tylko przez szparę w śmierci nikły promień
W jakiś dzień lata,
Tylko zieleni liść i zapach życia
I dłoń na kwiatach.

Cień, co nad żywych wzrośnie stromym brzegiem,
Zapadnie znowu,
Wdeptany głucho w bruk, tający śniegiem
Nocy zimowej.

Przechodzą dni i noce i wieczory
Oczekiwania, — w których mur się kruszy,
Śnieg mokry pada albo popiół pruszy,
Zamurowane okna, czarne sztory.
Łachami piasku chmury o zachodzie,
Różowiejące przez mgliste opary,
Jakby olbrzymie odpływały łodzie,
Unosząc w masztach swoich Miasto Stare.
Trzody brzęczących domów wchodzą w wodę,
Na drugi biały brzeg ciężko przełażą
I tam się jeszcze w żywem słońcu jarzą
I zimne niebo promieniami bodą.

Zgrzytając między stromemi blokami
Po piętrach zmierzch żelazny zjeżdża windą.
Muzyki brzęk w warszawskim teatrzyku,
Duet słowików
Unter den Linden.

Ktokolwiek jesteś,
Mów
Gdzie twoje ramię.
Porachuj słowa jak kule,
Mów
Żelazem rozgrzanych luf.
Tylko karabin nie kłamie.

Jeszcze w popiołach cię odnajdę,
Choć mi się w ustach spali śpiew.
Jak Walther von der Vogelweide
Zawodzi słowik w gęstwie drzew.

Gdzie szelest wielkiej lip korony,
Gdzie zapach niedokwitłych róż,
W południe letnie ocieniony
Na różach senną głowę złóż!

Milczący gość repertuaru
Zasępił czoło, zgarbił grzbiet.
I pełen gwałtownego czaru
Zakrztusił się i zaciął flet.

Śmiech, dozwolony niewolnikom,
Idjoty i lokaja śmiech!
Pandory skrzynia w teatrzyku
I klucz od zatopionych ech.
Ach, łotry, szelmy, ach, łajdaki!
Milczenie — sprzysiężony tłum.
I nocne cienie, nocne ptaki
I ociemniałych latarń szum.

I nagle purpurowa ściana!
Świst kul i łomot kolb i stuk —
I znowu, doświadczony w ranach,
Zapada się pod stopą bruk.

I znowu rozżarzone niebo,
Płomieniem z murów zmywa cień.
Drzwi wyważone! W białą sień
Podchorążowie biegną.

Wysoko płyną ślepej nocy wojska,
Na Saskiej Kępie błękitnieją tabory,
Kaski zatliły się na szarych kioskach,
W ciemności hucząc bruk wylazł spod kory,
Czołg gąsienicą wypełza za żerem,
Płyną armaty, spiże w milczącej asyście,
W zielonych wieńcach choiny baterje
We mgłę wjeżdżają wolno, ciężko, uroczyście.

Powoli noc zwija tabory czarne,
Gdzieniegdzie tylko złote ognia szprychy
Zamigotają w mroku. Zgaszone latarnie.
Tylko cień cichy
Rozwija czarną ceratę bez szmeru, —
Szepnie o kamień widmowy przechodzień:
W tem mieście, w którem już nikt się nie rodzi,
W tem mieście, w którem co drugi umiera.

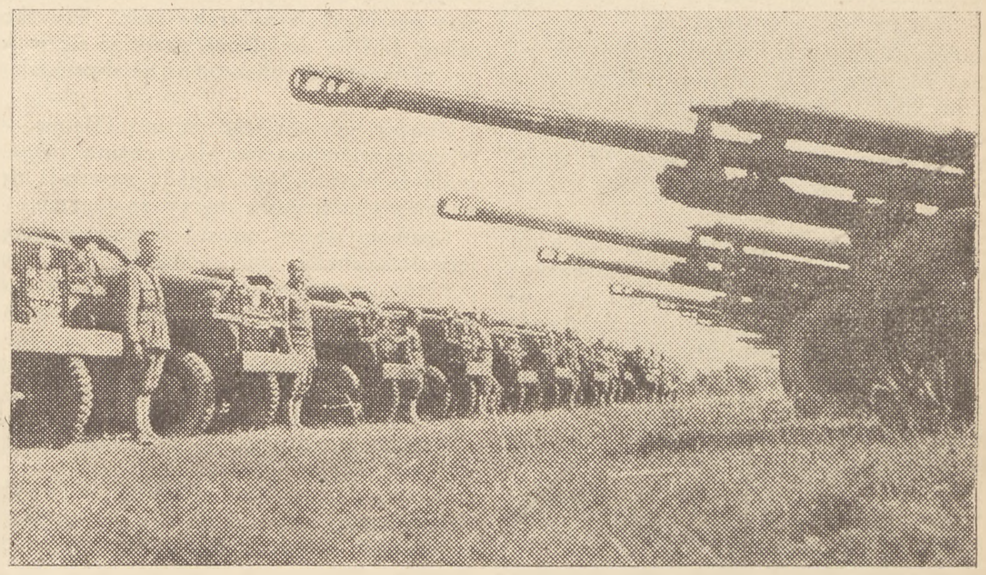
Oddycha w śniegu pierwszym różem brzasku
Snów letnich pałac króla Stanisława,
Uwięziony przez zimę, na wron dzikim wrzasku
Wiszący — kolumnowa zjawa.
I biały faun nad bezcielesną wodą
Pochyla zwolna swe obrzmiałe skronie,
Sięgając mroku dna wierzbową brodą.
W alejach śniegu, w opuchach ogrodu
Cisza od białych drzew odprzęga konie.

Warszawa 1942 r.

Wojsko Polskie



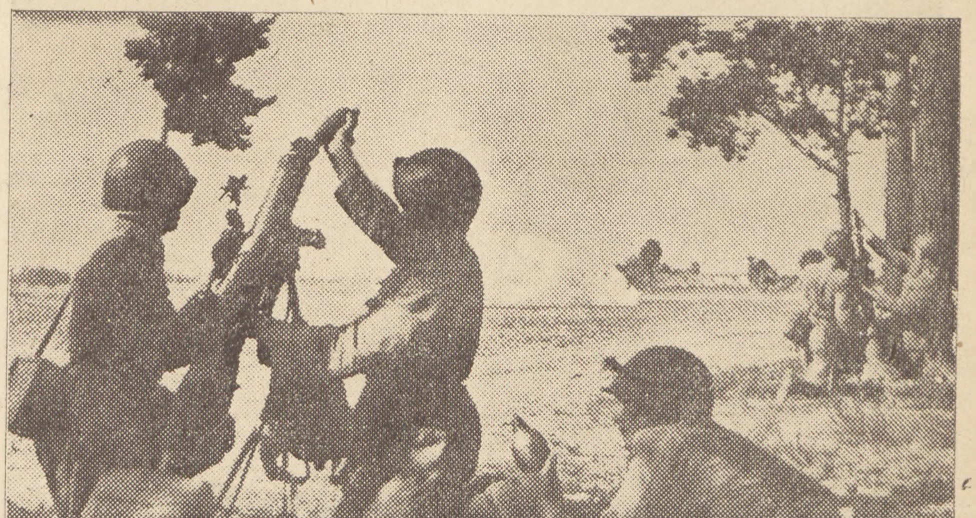
Gen. Mierzycan wita się ze swoim czołgistą
fot. Wł. Forbert



Artylerja IV Dywizji im. J. Kilińskiego
fot. Edm. Zdanowski



Z walk o Warszawę. Polski posterunek wojskowy
fot. Edm. Zdanowski



Z walk o Warszawę. Miotacze bomb chor. Plaskowskiego
fot. Konowałow i Kapustiański

JAN HUSZCZA

Przedwiośnie nad Oką

(z materjałów powieściowych)

Zima 1943/44 była wyjątkowo łagodna. Nawet tam, gdzie zwykła srożyć się mrozem i zawiejami. Wśród różnych wróżb i przepowiedni — tak obfitych i fantastycznych w czasach wojny — były prognozy wysnuwane właśnie z przebiegu i nasilenia zimy: zbliża się koniec wojny, koniec wyjątkowo obliczony nie na tygodnie i dni, ale w każdymbądź razie na miesiące, no, według pesymistów na okres zawarty w tem, co nazywamy rokiem kalendarzowym.

W styczniu, w południe, odwilże ciekły prawie z dachów Moskwy. Śnieg roztłamszano nogami, zwalano na samochody, wywożono.

„Jak dobrze!“ wołali zwłaszcza ci, jadący z północnego Kazachstanu, którzy przeżyli tam zimę roku 1940/41, buszującą tygodniowemi zamieciami, kiedy zrana trzeba było wyważać drzwi izby, prosząc o sąsiedzką pomoc zzewnątrz, dogrzebywać się szyb okiennych, przez doby słuchać w siole dzwonu, przyzywającego zabłąkanych, zmarzniętych, zdezorjentowanych w stepach, wśród dróg niezaznaczonych ni drzewami sosnowemi, ni — tem bardziej — wierzbami.

Franciszek Mytycki, wespół z innymi, osiągnął Moskwę. Do miejsca przeznaczenia było już blisko. Stokilka kilometrów. Cóż to znaczyło wobec parotygodniowego pokonywania przestrzeni, wyrażającej się w tysiącach kilometrów, w dwójce czy trójce z trzema zerami.

To — powrót. Słowo, nieśmiale użyte po kilku latach mitręgi, załamań i niewiary, modłów i przekleństw. Temu słowu i jego uczuciowej doniosłości będzie się należał oddzielny rozdział. I to niejeden. We wspomnieniach tych, co przyjdą ze Wschodu, z Anglji, Francji, Iranu, bo ja wiem, wreszcie, skąd...

A więc: można stanąć w oknie zatłoczonego wagonu, przytulić czoło do wilgotnej szyby i myśleć, bo patrzeć niema na co, poza wagonem jest noc, a w wagonie obowiązuje zaciemnienie.

Obok śpią chłopcy, zresztą śpią nieliczni. Bo jakże: dojedzie się wkrótce do stacji przeznaczenia, na której wszyscy, gromadnie wysiądą, z której dojdą do wojska polskiego.

Tymczasem jest palenie smrodliwej machorki, nieco rozmów, nieco śpiewu, wbrew ciszy, wymaganej przez resztę pasażerów.

Psiakrew, znowu komuś ściągnięto tłumok z ubogim dobytkiem! Ale to nic, w gromadzie nie zginie się nawet bez tłumoka.

Północ. Może trochę po dwunastej. Oto i stacyjka, o którą dopytywano się nie tylko w ciągu tej podróży, ale jeszcze wtedy, gdy bliscy i znajomi — o, szczęśliwcy — wyjechali do I-ej dywizji. Było to latem 1943 roku, na stepach kazachstańskich rozpoczynano żniwa złociście przelewającego się pod wiatrami prosa.

* * *

Zębami powołanych do wojska solidnie a wytrwale szczękał chłód. Stacyjkę dawno zbombardowali Niemcy. 43 cywilów — do tych z Kazachstanu dołączyli się przy wysiadaniu z pociągu jacyś Krakowiacy z Uralu — resztę nocy spędziło pod brezentową płachtą namiotu na rozmowach. Wspomnienia o kraju. Informacje o niedawno przeżytej doli. Domysły, jak też będzie jutro. Wreszcie seledynem przebłyskuie wietrzny świt. Przychodzi oficer. Można dwójkami, grzebiąc się w śniegu, maszerować. Blisko, coś ze dwanaście kilometrów.

Znowu nawiało tego śniegu! Drogę, wytyczoną wierzbowemi plecionkami, rozczyszczają żołnierze. Nasi. Każdy wpatruje się w mijane twarze, może dojrzy znajomych.

Gramolą się w zaspach ciężkie, pobrzękujące łańcuchami na oponach, „wanderery“ czy też „sztudebekery“. Nad kierownicami, nad twarzami szoferów zimowe czapki z orzełkiem.

Duże sioła rosyjskie. Domki z galeryjkami, chaty w okolach z brzóz i sadów. — Ach, sady — wyrywa się ktoś — prawie cztery lata nie widziałem sadów! — Przystaje. Lgnie do nich oczami.

A stare, murszejące cerkiewki z powybijanemi oknami mają tak dyskretnie zaznaczoną cebulastość kopuł, że architekturą i kolorem przypominają raczej kościoły. Może to złudzenie, ale przecież chodzi o to, żeby wchłaniać w siebie wszystko to, co czemkolwiek może przypominać wsie nad Wisłą, czy nad Bugiem.



Z walk o Warszawę. Na placu boju.
fot. Konowalow i Kapustiański



Jedność scementowana krwią. Powstańcy nawiązują łączność z Wojskiem Polskiem. Pułk. A. K. Kmita i zwiadowca I Dywizji strzelec Święcicki. Święcicki jest jednym z 30 kościuszkowców, którzy nawiązali łączność między Pragą a Warszawą.
fot. Edm. Zdanowski

Sfalowane, pagórkowate okolice podają ścieżki ścieżkom, tropy tropom. Grzbiety wzgórz porośnięte czuprynami lasów: smużą się, błękitniejące w rzadziznach, pasma.

A oto stroma, pełna zakrętów, kręta droga w dół i równa przestrzeń: rzeka Oka. Tu szerokiem skrzydłem bije wiatr.

Jeszcze przejść przez drewniany dudniący most i grupka staje na brzegu lasu. Zaczynają się tereny, zryte ziemiankami, tereny formujących się jednostek wojska.

Przedtem zaś brama, sztandary, portrety i napis: „Witaj wczorajszy tułaczu dzisiejszy żołnierzu!...“

* * *

Żołnierzami, przynajmniej z wyglądu, stali się po kilku dniach.

Dzień w dzień przywędrowują grupy, dziesiątki, setki ludzi. Pilnie pracuje komisja ewidencyjna. Karty komisji zapełniają się zwięzłemi danemi o nieprawdopodobnie niekiedy pogmatwanych szlakach wedrówek życiowych, o przejściach bolesnych, losie niemiłosiernym i upokorzeniach.

Jak dobrze czekać na komisję w baraku świetlicy, pełnej świeżej sośniny, z polskiemi gazetami na ścianach.

Elegancki, nawet wymuskany, oficer przemawia:

— Przybyliśmy tutaj, żeby otrzymać broń, my, tułacze...

Tułacze: w różnych strojach, mniej lub więcej zniszczonych, zewsząd, jeśli chodzi o kraj, — zewsząd, jeśli chodzi o drogę powrotną z obszarów rosyjskich.

No, więc nareszcie przed komisją lekarską! Mytyckiego przyjęto bez zastrzeżeń. Co do niektórych, były. Inni — bardzo rzadko — sami wysuwali. Ktoś poczuł w sobie przysłowiony w wojsku pociąg do pracy w kuchni. Drugi — widocznie umysł bardziej niezależny — do pracy w piekarni. Albo, mówi, wyślijcie na tyły wroga do partyzantki, albo skierujcie do piekarni. Dziadka, mówi, miałem piekarza, zakalce, mówi, będę zwalczał. Ponieważ nie było zbytecznych samolotów, żeby wysłać na tyły nieprzyjaciela, a do piekarni można było dowędrować pieszo, przeto uwzględniono to drugie żądanie. „A patrz“ — wołają przyglądający się tej ceregieli — „żeby chleb był taki!“... I pokazują pionowo usztywniony kciuk, który — niewiadomo dlaczego — ma symbolizować wszelkie wcielenia doskonałości, perfekcji, jakości pierwszorzędnej...

Dziobaty starszy sierżant pochodzi z Kielc. Kiedy wychodzi, przyjęty do cekaemów, kilku podmiguje: „Z Kielc, wiadomo“... Niby co wiadomo? Oni jednak podmigują i śmieją się.

* * *

Próżno Franciszek — umundurowany! — starał się po paru dniach spotkać kolegów ze swojej grupy. Nie tak łatwo. Poszli do różnych kompanij, różne dostając przydziały w różnych pułkach. Jeśli zaś ich spotykał, to nie odrazu poznawał: wycirusy, obdartusy poprzebierali się, podciągnęli się, na baczność stają. Siebie, zresztą, Franciszek w okruchu lusterka też nie odrazu poznał.

Jak to szybko idzie: remontuje się ziemianki, buduje nowe, reperuje ściany, układa podłogi, węszy szkło na szyby. Las na miejscu. Zapał budowniczych nieraz osiąga stopień przesadnej gorliwości.

„Brakuje ci belki? machnij, bracie, sosnę i szlus!“

Dobrze, że ktoś, może właśnie leśniczy z cywila, mityguje:

„A ty, gołąbku biblijny, oględniej z temi sosnami. Wszystkie zmachniecie, a potem będzie dechnąć z nadmiaru powietrza!“

W lesie żółcieją przysypane piaskiem ścieżyny, dymi łaźnia. Na klombach ze śniegu ułożono z gałązek orły i hasła.

Wojsko rozlokowuje się, cywile przybierają kształty żołnierskie.

Proszę, po kilku dniach maszeruje wczesnym rankiem, jeszcze nie zupełnie nawet skompletowana, ale już kompanja. Maszeruje na ćwiczenia, kołysana jakimś zgodnym rytmem — tylko ktoś tam ciągle niewłaściwie wysuwa nogę, — nucąc piosenkę.

* * *

„17 lutego 1944 roku. Poczta polowa Nr..... Moi drodzy, Mamo i wy, Siostry! Pisze do was podporucznik, zastępca dowódcy kompanji, bo takie od niedawna mam stanowisko. Nie poznałybyście mnie teraz. Moją angielską podziurawioną bluzę, wyleniały kożuszek oraz potrzykroć przedeptane wojłoki z cudowną przyjemnością zostawiłem w śniegu pod jedną z sosen. Niech tam butwieją. Wyfasowałem wszystko jak z igły. Żarcia naogół starcza, tytoń otrzymujemy także. Pracy dużo.

Co niedziela jestem na mszy św. Nasz ksiądz kapelan jest byłym jeńcem, przeszedł na tę stronę z armji niemieckiej, do której był zmobilizowany ze Śląska w charakterze sanitarjusza.

Ze znajomych, jak dotąd, spotkałem tylko Marjana Palickiego. Przybył tutaj z Archangielszczyzny. O rodzinie swojej, zostawionej w Wilnie, oczywiście, nic nie wie. Kazał się wam pięknie kłaniać.

Co tam słychać z mrozami, jak z opałem? Czy wymieniliście moje palto na kartofle? Czy zwrócił wam Matkiewicz pieniądze? Jeśli nie, to powiedzcie mu w mojem imieniu, że jest bydlakiem ostatniej kategorji.

Piszcie o wszystkiem drobiazgowo. Bo u mnie pozatem nic szczególnego. Tyle, że — jako dawny student polonistyki — pracuję obecnie nad referatem, który mam wygłosić w świetlicy. Tematem referatu jest twórczość Żeromskiego, ale wy chyba się w tem nie kapujecie... Całuję wszystkich! Franek.

Aha, czy pisze co Feluś z Iranu? Bo tu wiele jest wypadów, że syn u nas, a ojciec u Andersa, czy w Anglji — i naodwrót. Gdzie też cholera nie gania Polaków po świecie?! Jeszcze raz całuję. Mytycki“.

* * *

Dzień się zaczął.

Trzaska obcasami sierżant:

— Obywatelu poruczniku, melduję posłusznie, że ona nie chce chodzić w portkach.

— Kto ona?

— Niby ta... szeregowiec Mączyńska!

— A wam co, zależy na tem?

— Niby właściwie nie...

— No więc? Wydano im spódniczki, niech chodzą w spódniczkach. Na zajęcia zjawili się wszyscy? Chorych niema?

Sierżant wychodzi, zjawia się w ziemiance Krzyś. Wrócił z wartą:

— Melduję i t. d. Raptuła dostał konserwy dla dwunastu, a podzielił między dziesięciu. Twierdzi, że umie liczyć tylko do dziesięciu.

— Czyżby? Dawaj go tu!

Potem wchodzi kilku naraz. Mówią łamanym językiem. Najrezolutniejszy najbardziej plącze z rosyjska. W czternastym roku dostał się do Rosji. Z Suwalszczyzny. On i obecni proszą, żeby czemprędzej mogli uczęszczać na kursy języka polskiego. Co zapomnieli, to chcą przypomnieć, czego od ojców nie usłyszeli, chcą usłyszeć. Zwłaszcza, że inni setnie z nich pokpiwują, a oni przecież chcą im dorównać. I zobaczyć Polskę.

W nocy przy kopciłce—siedząc za stolikiem z ledwo draśniętych heblem desek — Mytycki szepcze do siebie: „Franciszku, jeszcze za wcześnie na sen!“... Leżą plany zajęć, regulaminy, rozkazy do wykonania, instrukcje, uwagi, dyspozycje, pogadanki, przez głowę przepływają dziesiątki kwestyj, związanych z życiem kompanji, które trzeba rozwikłać.

Za szybą cykają krople topniejącego śniegu. Można na chwilę wyjść przed ziemiankę. Błyszczy w sosnowej gałęzi księżyc. Cienie dziwacznie poplątały się na śniegu. Ach, jak pachnie wiosną! Ach, jak pachniały wiosny z przed lat, tam, w dalekiem miasteczku gimnazjalnem!

W pobliżu przechadza się wartownik, wyraźny, wpisany w ostre kontury na płaszczyznach śniegu — rozpływa się, gdy dochodzi do krzaków jałowca.

Może też tak samo wzdycha...

* * *

Wibruje, kurzy srebro śnieżne. Wiatr rozmiata wilgotne srebrniki. Osiadają na włochatych łapach sosen. Na zimowych watowanych czapkach, w których niekiedy bywa za gorąco.

Opięci w szynele ludzie, z torbami polowemi, przewieszonemi przez plecy, wędrują w sobie wiadomym kierunku. Kroki zdecydowane, zorganizowane przez odpowiednie rozkazy, ręce gotowe zawsze do salutowania wyższym szarżom.

Dobrze zaglądnąć od czasu do czasu do sioła, w którem mieści się sztab — mózg i wola dywizji.

Chodzi się od wydziału do wydziału, załatwia sprawy, walczy o książki, o zeszyty i ołówki. Przed składami kwatermistrzostwa ładują się ciężarówki, sanie. W świetlicy oficerskiej można spotkać znajomych. A jeszcze — poczta polowa, jeszcze — redakcja gazetki. I wszędzie: „Czołem!... czołem!"... „Melduję się..." „Rozkaz"... „Tak jest"... „Czy można odejść?"...

A tam już w lesie dociera wszędzie ciemność, czołga się ciężka popod drzewami. Dzień pracowity kończy się brzękiem menażek przed kuchnią, potem apelem, „Rotą".

Sioła wcale nie dziwią się polskim melodjom. Ich mieszkańcy już od kilku miesięcy przyzwyczaili się do nich. Miejscowe chłopaki, spotykając żołnierzy, wrzeszczą „czołem". Przecież niejedne polskie oddziały tu się narodziły, stąd wymaszerowały.

Dziewczęta i kobiety nie wrzeszczą, natomiast porozumiewawczo się uśmiechają. Znajomości szybko dochodzą do skutku. Za szybko.

* * *

Pogodo! Naprawdę już nie można chodzić w walonkach. Fachowo wywałkowana w wojłok wełna smokcze wilgoć, obciąża nogi. Trzeba naciągać buty. Po paru dniach jaskrawego błękitu i mroźnej słoneczności, w której biało stygnęły pnie brzóz, padał deszcz. Nazajutrz oczom ukazały się wyraźne sukcesy — przynajmniej na niektórych odcinkach — odwilży i porażki mrozu. Pociemniały wierzby, pociemniały smugi leśne, lekko rozmyło leżące na niezalesionych przestrzeniach drogi. Całonocne ciepłe, lecz silne, wiatry pozrywały tu i ówdzie we wsi strzechy. Pachnie zbutwiała, poczerniała słoma. Przedziera się z pod zlodowaciałej pokrywy jedyny wilgotny, przyzywający zapach ziemi.

Żołnierze, rozmieszczeni w plutonach i drużynach, są już komórkami sprawnie funkcjonującego organizmu. Coraz częściej, w rozmowach, wyłaniają się głosy zniecierpliwienia: dość tu siedzieć, pora ruszać dalej. A dla dodania ważkości zniecierpliwieniu informuje się: wkrótce, być może, ruszy Oka, co wtedy? Siedzieć, dopóki nie przepłynie kra?

Coraz częściej zdarzają się alarmy zniecierpliwionych: widzieli pęknięcia na lodach Oki, pokrytej zresztą grubo rozdeptanym, rozbitym śniegiem, czerniejącej jeno przy moście.

Te wiadomości o pęknięciach i rysach przeważnie należą do przesadzonych, albo wogóle wysnutych z fantazji, tak jak niegdysiejsze wiadomości o wężu morskim.

Żołnierze szkolą się, od świtu ruszają się tam i sam na bieli grupki to z karabinami, to z automatami, to z rusznicami przeciwpancernemi, to z radjostacjami. Do słuchawek wkrzykuje się właśnie: „Wisło, odpowiedz!" „Wierzbo, czy słyszysz?"... „Radom, odezwij się"... Rozgrzebują śnieg tyraljery, podchodzenia, natarcia i odwroty.

Szef Batyński coraz mniej ma okazyj do przydzierania się. Przedtem zachodził do którejkolwiek ziemianki, a tam ciemno, brudna podłoga, niema orła na ścianie...

— W pierdlu jesteście, czy co?! — basował.

Albo zdybał jednego z drugim i nacierał:

— To ty, przyjacielu, z taką niegoloną gębą chcesz Ojczyznę budować, co? (kiedyindziej: „z takiemi oberwanemi guzikami.... z taką plamą na płaszczu"....)

Perswazja, naiwnie prymitywna, skutkowała. Jedni żołnierze wpływali na drugich.

Jak szybko, jeszcze na początku, rodził się patrjotyzm dla użytku wewnętrznego: „Nasza kompanja, to ci dopiero..." „Jak nasz pluton, takiego szukaj w Korpusie, a nie znajdziesz"... „A w naszej ziemiance, moi panowie"... „Wiesz, co to znaczy CKM? Cała kompanja matołów..."

* * *

Omglone sosny nastroszyły igły, śnieg sinieje coraz bezsilniej, dziurawiony kroplami odwilży, pulchnieje jak solidny ser szwajcarski, topnieje, obnażając rudziznę wzgórz i kurhanów.

Rózgi brzozowe, gałązki kruche — gdy patrzeć zdołu — drzemią w powietrzu siatką misterną, wszeptaną w lazur.

Tęsknota, tłumiona w ciągu lat, chwyta prawie za gardło. Franciszek nie może się opędzić myślom o rodzimej Bogudzięce. O starym domu, zapadającym się w ziemię. O stawach — cichych, sennych w porze świtania, pomarszczonych w czasie wiatru, chwiejących odbicie rozkraczonych na brzegu wierzb. O muchach brzęczących w pokoju, gdy wszyscy są w polu, a on, Franek, siedzi z książką przy otwartem oknie.

Bogudzięka? Czy może przypadkiem nie jest jakiemś zmyśleniem ten folwark, w którym się urodził, wyrósł, z którego potem wywędrował najpierw do gimnazjum, potem na uniwersytet; stąd jeszcze potem poszli bracia na wojnę, stąd w pewien szklący się przymrozkiem dzień kwietniowy wyniesiono trumnę z ojcem, stąd wkońcu wywieziono go razem z matką i siostrami, by znalazł się tam, za Uralem, o pięćdziesiąt kilometrów od potężnej rzeki Irtysz, nazwy brzmiącej kiedyś idealnie obojętnie, jak większość nazw geograficznych w szkole, gdzie w przeciwieństwie do licznych rówieśników, nigdy tym przedmiotem specjalnie zainteresować się nie umiał, nie próbował.

Bogudzięka? Może dom zdmuchnęła bomba niemiecka, wtedy, w czerwcu? Przecież mgnienia trzeba, żeby zniszczyć to, co kilka pokoleń wznosiło, przerabiało, dobudowywało, w czem żyło, tęskniło, poruszało się i umierało; zniszczyć materjalny przejaw ich pracowitej działalności, ich pragnień i myśli.

Bogudzięka? Można bez końca myśleć o niej. Przyzywać daleką, skrytą za mgłami obietnicę szczęścia, celu, kresu.

Nijako, smętnie, samotnie było z początku w wielkiem siole, rozrzuconem po stepie, na skraju lasu sosnowego. Wątpił niekiedy zupełnie o możliwości powrotu. Błądząc wieczorami między pniami sosen (brzóz nie było na piaskach, zalanych przez srebro piołunów), nie czuł w sobie siły wytrwania, nie widział, nie wyobrażał siebie więcej w Bogudzięce. Potem — właśnie, gdy przyzwyczaił się i oswoił nieco z życiem w tem siole rosyjskiem o kazachskiej nazwie — potem właśnie zbudziła się nadzieja, że jednak kiedyś w jakiś sposób (tylko nie zastanawiać się, w jaki!) zdarzy się, nie inaczej, a właśnie „zdarzy się", ów powrót.

Nieraz zachodził do jednego z brygadierów kołchozu, Iwana Pietrowicza. Iwan Pietrowicz, kręcąc z samosiejki „kozią nóżkę" i podpalając ją iskrą z krzesiwa—najchętniej wspominał — o czemże, jeśli nie o pierwszej wojnie, o tamtej z czternastego roku. Był w niewoli, żył we Francji, w Italji, ba, siedział w więzieniu aż w Algierze. I choć był tak daleko — jednak wrócił do swego latem spalonego słońcem, a zimą zasypywanego śnieżnemi zawiejami, sioła. Nigdzie lepszych miejsc na osiedlenie się nie znalazł, choć i do żeniaczki cudzoziemskiej okazje nieraz się zdarzały. Wszystkie drogi nie wydawały się temu człowiekowi zbyt trudne, zbyt poplątane, żeby z nich nie wywikłać w końcu jednej — powrotnej. A o to właśnie idzie. Gdy Mytycki słuchał opowiadania, to nie tem się interesował, gdzie był, gdzie i jakie koleje przeszedł Pietrowicz, a tem właśnie, że choć rzucany nieprawdopodobnie daleko, jednak wrócił. I sam Iwan Pietrowicz — pomarszczony, siwy, rosły chłop — właśnie dlatego chętnie o swych kolejach losu opowiadał, że chciał pomóc Franciszkowi, żeby ten okrzepł, skupił się, nabrał chęci do spokojnego i pełnego ufności patrzenia w przyszłość, chęci do walki o każdy dzień, o każdą znojną kromkę chleba.

Teraz Franciszek — myślący o Bogudzięce — z pewnem rozrzewnieniem przypomina sobie Pietrowicza. Przypomina nawet niektóre etapy swojej pracy w siole. Znana optymistyczna tendencja pamięci mgiełką liryczną owiewa przypomnienia. Widzi siebie z niemiłosiernem, zasychającem pragnieniem na wargach, w upale lata jadącego na wołach.

Co robić z czasem podczas jazdy na wołach? Albo gdzie uzbroić się w cierpliwość pozwalającą obojętnie, spokojnie siedzieć w długim, głębokim o kształcie koryta wozie, ciągnionym powoli, jednostajnie, noga za nogą przez parę bronzowemi łatami popstrzonych wołów? Piach przesypuje się między szprychami kół, ślady kopyt momentalnie zasypują się, nikną — kołysza się cielska, zakończone rozłożystemi rogami, miarowo, wolno, wolno! Na drodze, wydeptanej przez gładki, monotonny, porośnięty piołunami step wydaje się, że woły wcale się nie posuwają, niema bowiem obiektów, do których odnosić można ruch wozu, co chwila stwierdzać naocznie jego posuwanie się naprzód.

I przypomina sobie zmierzchy, tak często zaskakujące go w drodze. Piaszczyste wydmy, porośnięte burzanami, rysowały się w mroku jak grzbiety wielbłądów. Wiatru nie było. Wsłuchiwał się w ciszę. Słyszał cisze innych jesieni. Tamtych, ogniem znaczących się na liściach, szurszących niemi pod nogami, mglistych, chmurnych, pachnących dymami ognisk pastuszych, gderających młockarkami. Wspomnienia były silne, dojmujące, zapach jabłek od lat niewidzianych tak wyraźny, że w pewnej chwili pociągał nosem, chcąc jakby go złapać. Nocą, stepem pachniał jednak piołun, ostro pachniały dzikie konopie. Zapachu jabłek nie było. Nie było...

* * *

I znowu ćwiczą chłopcy z łączności: „Wisło, Wisło odezwij się"..., wywołują zaszyfrowaną tem imieniem jednostkę nad Oką, ale tak namiętnie, z takiem zapamiętaniem, jakby wywoływali tamtą, szeroko rozlaną, płynącą wśród płaskich lub urwistych brzegów, szlochającą zielonemi świtami wierzbowemi.

Któregoś dnia zaczęły się gwałtowne przesunięcia, ruch, larum, taraban przed tem niespotykany i radość przedtem niespotykana. Ze skromnej stacyjki poczęły odchodzić znowu eszelony z wojskiem.

Ładowała się dywizja. Formacje odjeżdżały na Zachód, żegnając Okę na zawsze.

Jan Huszcza



Ludność Pragi wita polskich żołnierzy
fot. Konowałow i Kapustiański

Powstańcy Warszawy

fot. Edm. Zdanowski







STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

W sprawie organizacji życia literackiego

WŁAŚCIWE ZAGADNIENIA

Problem odnowienia literatury, problem rewolucji literackiej — to w pierwszym rzędzie sprawa organizacji życia literackiego. Chodzi o zmianę warunków rzeczowych, przedmiotowych działania literackiego. Na pierwszym etapie nie chodzi o teorje przyszłej sztuki, ale właśnie o teoretyczne uzasadnienie działania rewolucyjnego w zakresie rzeczowych warunków życia literackiego.

Zbyt dużo bowiem dotychczas zajmowano się koniecznością przemiany ideowych i społecznych treści kultury, wyborem wartości, rolą, jaką ruch kulturalny odegrać ma w procesie wychowania nowego człowieka w nowym ustroju.

„Sprawy organizacji kultury uważano za sprawy podrzędne, za problemy wyłącznie techniczne. Ten abstrakcyjny punkt widzenia umieszczał przemiany kultury w jakiejś społecznej i historycznej próżni, uniezależniał od ogółu społecznych i gospodarczych procesów, zamiast konkretnych zadań, stawiał teoretyczne dylematy. Organizacja kultury jest tymczasem nierozerwalnie związana z jej treścią, a nawet więcej — pod pewnemi względami ją determinuje. O społecznej treści kultury bowiem rozstrzygają w pierwszym rzędzie dwa momenty: zasięg krążenia dóbr kulturalnych oraz kto je zamawia. Kultura dla elity, „ersatz" kulturalny dla mas w postaci „audycji dla wsi" czy teatrów regjonalnych, kultura ograniczona do cienkiej warstwy inteligencji mieszczańskiej jest zawsze antydemokratyczna. Demokratyzacja kultury jest tak długo niemożliwa, dopóki pracownicy i twórcy kultury nie będą mieli łączności z szerokiemi masami ludności pracującej, dopóki o krążeniu i tworzeniu się nowych dóbr kulturalnych rozstrzygać będzie prywatny aparat pośrednictwa obliczony na zysk, albo antydemokratyczna biurokracja państwowa" (z materjałów konspiracyjnej K.R.N., Koło Wiedzy, Kultury i Wychowania).

Przedewszystkiem problem rozprowadzenia dóbr kulturalnych — a więc i książki czy pisma.

Czytać swobodnie znaki kultury — to właśnie być wykształconym. To rozumienie wytworów kulturalnych zdobywa się z trudem, celową i umiejętną pracą w szkole.

Lecz ma to być dotychczas niezrealizowana szkoła istotnie powszechna obejmująca całą młodzież, szkoła jednolita, udostępniająca wiedzę na wszystkich szczeblach każdemu uczniowi na równych prawach, zależnie tylko od jego zdolności, szkoła bezpłatna, którą może ukończyć dziecko robotnicze i chłopskie. W konsekwencji da to zmianę struktury społecznej naszej inteligencji, dotąd izolowanej od klas upośledzonych. Zmiany ilościowe w strukturze klasowej całego społeczeństwa, wykształcenie i przygotowanie masowych odbiorców literatury. To jest pierwszy warunek odnowienia piśmiennictwa. Warunek, o który walczyć muszą jego teoretycy i twórcy we własnym interesie i dla dobra samej literatury.

Druga sprawa to umasowienie środków technicznych umożliwiających obcowanie z literaturą. Stworzenie sieci bibljotek gminnych, domów ludowych i klubów robotniczych.

W okresie warszawskiej konspiracji pisał (dziś jeszcze anonimowy, bo znajdujący się na okupowanych terenach) działacz na łamach „Rady Narodowej" (organ K.R.N.): „Sztuka i kultura zależna jest od konsumenta, inne książki powstają dla 10.000, a inne dla 10.000.000. Nie zmieni się teatr, radjo, kino czy prasa, dopóki zależeć będą od prywatnego kapitału, dopóki obliczone będą na zadowolenie interesów i zysków klas uprzywilejowanych. W gospodarce kapitalistycznej dobra kultury są takim samym towarem jak wszystkie inne.

W państwie faszystowskiem ponadto są narzędziem obezwładniania politycznego i deprawacji moralnej mas ludowych. Zagadnienie demokratyzacji kultury jest więc w pierwszym rzędzie organizacją powszechnego uprzystępnienia masom dóbr kulturalnych i wytwarzania na nie społecznego zamówienia. Demokratyzacja kultury sprowadza się więc do stworzenia takich form organizacji kultury, które umożliwią nie tylko zaspokojenie potrzeb duchowych mas ludowych, ale również zapewnią im wpływ i udział w przemianach kultury, aby stać się mogła wyrazem ich dążeń, bronią w walce o pełną demokrację społeczną. Zadanie to jest istotne i ważkie, gdyż konieczny dla potęgi i dobrobytu kraju stopień industrjalizacji jest osiągalny w pełni przy odpowiednim zasobie równie wysoko kwalifikowanych sił ludzkich. Lecz wysokich kwalifikacji technicznych nie można osiągnąć bez ogólnego, dostatecznie wysokiego poziomu kultury osobnika. Krzywe wzrostu uprzemysłowienia, kwalifikacji technicznych i kultury mas muszą przebiegać mniej więcej jednakowo".

Dla uniknięcia przecież nieporozumień trzeba się wyraźnie zastrzec: Masy ludowe mają prawo do pełnej kultury. Mają prawo do całej tradycji kultury europejskiej. Mają prawo do dzieł, które kontynuują linje rozwojowe, zdobycze techniczne kultury współczesnej, nawiązując do najbardziej szczytowych osiągnięć. Nie może zamilknąć twórczość, do której masy będą dopiero dorastać. Trzeba o tem pamiętać, jeśli chcemy uniknąć katastrofy kulturalnej. Trudna, wytworna a groźna myśl Marksa, odpowiadała nie tylko doraźnym potrzebom proletarjatu, ale była potężną dźwignią także przyszłej, narastającej kultury klasy robotniczej. Związki zawodowe pisarzy powinny mieć pełną możliwość opieki (także materjalnej) nad taką twórczością, wyznaczoną nie tylko przez bieżące potrzeby mas, ale przez tendencje rozwojowe kultury, zdeterminowane ze swej strony przez tendencje rozwojowe całego społeczeństwa, procesy objektywne, jak zwykle, wyprzedzające procesy psychologiczne w masach.

USPOŁECZNIĆ MATERJALNE ŚRODKI PRODUKCJI LITERACKIEJ

Jest tylko idealistycznem złudzeniem, że instytucje życia zbiorowego stanowią świat objektywizujący się poprzez ludzi, ale w gruncie rzeczy „pozaludzki". Wszelkie szkoły formalne w socjologji najmylniej postulowały, że twórczość kulturalna, a więc i literacka jest objektywizowaniem się idealnych struktur, jak chciałby Znaniecki, czy idealnych modeli, jak chciałby Weber. Każda instytucja życia zbiorowego, wytwór kultury — jest stosunkiem społecznym. Instytucje w swym rozwoju nie urzeczywistniają jakichś nieuchronnych wewnętrznych, z ich istoty wynikających konieczności. Niema służby poprostu i tylko dla instytucji. Tworzenie literatury jako instytucji życia zbiorowego jest albo służbą wstecznym albo postępowym, narastającym siłom społecznym, siłom produkcyjnym. I zależne jest to w dużej mierze od struktury materjalnych przedmiotowych czynników życia literackiego. Oczywiście, rewolucyjna wola pisarza może przełamać te przeszkody dzięki innym, poza życiem literackiem kształtującym się warunkom, dzięki temu, że kultura tworzy wieloraką ale spoistą całość. Tem niemniej np. odosobniona postawa Lwa Tołstoja, „jedynego prawdziwego chłopa w literaturze" nie rozstrzygała o odnowieniu mieszczańskiej literatury w Rosji. Przeciwnie, zmiana warunków przedmiotowych działalności literackiej u schyłku XVIII w. zadecydowała o powstaniu nowej literatury jako całości, nowego życia literackiego całych narodów.

Dysponowanie przez prywatnego kapitalistę materjalnemi środkami produkcji literackiej krępowało literaturę i podporządkowywało klasowym interesom reakcji.

Przed nami stoi nie tylko zasadnicze zadanie zdobycia dla pisarza prawa do dysponowania temi środkami produkcji. Stoją przed nami zagadnienia wyrosłe z wyjątkowej sytuacji kraju, który przeżywa wojnę totalną i jej zniszczenia.

Odbudowa naszej kultury wymaga planowości. Ta zaś nie jest do pomyślenia bez czynnika społecznej kontroli.

Pisarz i jego działalność nie może być przedmiotem chaotycznej, bezplanowej gospodarki kapitalistycznej w kulturze. Każdy talent musi być wyzyskany celowo i zgodnie z potrzebą społeczną.

Podobnie nie może być marnotrawiony papier, praca i maszyny drukarni, fundusze wydawnicze. Będziemy tego wszystkiego mieli tak mało, że przynajmniej w okresie przejściowym czynnik społeczny — związki zawodowe pisarzy i spółdzielnie czytelników powinny decydować.

A dalej, jak pisał cytowany autor: „Z tych samych powodów, z jakich uspołecznieniu podlegać będą kluczowe gałęzie przemysłu, reglamentacji i kontroli społecznej będą musiały zostać poddane wszystkie podstawowe dobra i środki umożliwiające krążenie dóbr kultury. Dotyczy to w pierwszem rzędzie książek i wydawnictw. W obecnych warunkach całkowitego braku książek reglamentacja handlu książkami jest równie konieczna, co handlu złotem, czy benzyną. Pierwszą sieć bibljotek i wypożyczalni objazdowych, ograniczoną choćby tylko do miast powiatowych i gmin, stworzyć będzie musiał jeszcze Rząd Tymczasowy. Stworzyć je może jedynie z zapasu książek znajdujących się na rynku księgarskim. Inaczej miną lata, zanim zjawi się książka na wsi, zanim robotnik będzie ją mógł dostać do ręki".

Tymczasowy plan wydawniczy opracowany przez organy zawodowe twórców i odbiorców oraz przez organy spółdzielcze pozwoli dysponować planowo i zgodnie z interesem mas funduszami, papierem, zakładami drukarskiemi.

Oczywiście, zadaniem tej kontroli społecznej będzie także strzec się przed tanim praktycyzmem, rozumieć trudne i subtelne zadanie artysty, docenić społeczną wagę tomu liryki jak i elementarza, pamiętając przecież, że najbardziej nawet przejmująca liryka jest niedostępna dla nieumiejących czytać.

Warunki przedmiotowe to socjologicznie i psychologicznie rzecz biorąc — opory. Opory te istniały i wiązały swą objektywną prawidłowością dowolność pisarza w ustroju kapitalistycznym. Zmienią się one w duchu powyższych wywodów przez wprowadzenie czynnika społecznego do produkcji literackiej. Tem niemniej nie przestaną być oporami, innemi — ale oporami. Przekonać pisarza o potrzebie tej zmiany oporów, zmiany warunków przedmiotowych życia literackiego jest zadaniem teoretyka kultury, bo pisarz, który zdecyduje się walczyć o nowe warunki objektywne dla swej twórczości, o nowy typ trudności przedmiotowych, nowy typ oporu do pokonania — taki pisarz będzie zdolny realizować dyrektywy ideowe nowej literatury, taki pisarz będzie już przez swą walkę o nowy ustrój życia literackiego pisarzem społecznym, pisarzem mas.

JERZY PUTRAMENT

Fragment

Jest już jesień
i tylko wiatr od rana gałęzią topoli
nerwowo bije w okno, a potem powoli
rozrasta się, jak strumień, aż staje się tęższy,
przyciska do szkła gałąź, po szczelinach węszy,
tupoce na ulicy, przez bramę się skrada,
biegnie po schodach w górę i do drzwi dopada
i targa niecierpliwie, jak radosny zwiastun.

I nie mogę usiedzieć i biegnę za miasto,
staję, wprzód pochylona, z rękami u piersi,
patrzę mu w sine oczy i słucham, czy pierwszy
dojdzie mnie odgłos burzy.

Huczy las, wre rzeka,
druty jęczą przez zęby, skrzypi wieś daleka
i jest cicho. I tylko wiatr spływa po rzęsach
i twarz do niego chciwie tulę, bo to ten sam
wiatr, który tobą miotał. Bo to wiatr ze wschodu.

Wiatr huczy i jest cicho. Z rozczochranych stodół
wypada kurz i siecze oczy i gdy patrzę
przed siebie, rude rżysko wydaje się gładsze,
słupy łamią się napół, drży i mruga słońce
czerwono w oknach chaty gasnące, aż wkońcu
już nic nie widzę. Wielkie świetliste półkola
tańczą mi przed oczami.

Jest cicho.
Przez pola
wracam samotna bardziej niż dotąd. Znad ściernisk
ściga mnie wiatr i siecze po nogach. Niewierny,
nic oprócz łez mi nie dał. Nie mogę się oprzeć.
Gryzę wargi. Zaciskam oczy.

Kiedy poprzez
wiatru jałowy rozpęd usłyszę twej broni
grom? W jaki jasny wieczór nagle mnie dogonisz
i, osłabłą, pochwycisz w ramiona?

Mój miły,
czy rozumiesz, gdzie jestem? Nie licz mojej siły,
mojej wytrzymałości dawną miarą. Tutaj
inaczej się odmierza wszystko. Na zakutej
ziemi czas nawet nosi wroga ciężką pieczęć
i każde dziś tak wolno po niebie się wlecze,
że dziesięć dni szczęśliwych w niem jednem się [zmieści,
a gdy mija, zostaję bliższa o dni dziesięć
czego — nie wiem — zagłady czy ratunku?
Śpiesz się!

Kujbyszew, jesień 1942.

STANISŁAW JERZY LEC

Postój w Babiance

Spokój! Ustalił wywiad.
My w lesie. Czasby nam wyjść stąd.
I znowu śpiew nas tu przywiódł
W ten dwór jak w moje dzieciństwo.

Ryk krów otwiera aleje,
Od stajen zawiewa amoniak.
I któżby pomyślał: To dzieje
Wnukom wpisane do kronik.

Zrzucamy ciężar ze siebie,
Tęsknotę i amunicję.
Jak się przez kwiecień przebić
W zwykłe, żołnierskie życie?

Wokół byłego gazonu
Ćwiczy sztabowy pluton.
Dziwi się pan ekonom
Zdartym leśnym rekrutom.

Z traw niekoszonych ogrodu,
Który powoli zdziczał,
Ogrodnik wstał siwobrody,
Pokłonił mi się: Paniczu!

Od grobów przywlokłem się leśnych,
Czyli to dom? I wakacje.
Przeglądam w trzcinowym krześle
Pożółkłe jak ser ilustracje.

Druhu w twardej żołnierce
Z ręką na wiejskim temblaku,
Wyjmże liryczne serce
Noszone w pruskim plecaku.

Trudno pomyśleć cokolwiek.
Czary są coraz cięższe.
Słowik, rozkwitły słowik
Tkwi w rozśpiewanej czeremsze.

Tu dzieje ujmujesz w dłonie
Jak z grottgerowskiej karty.
W opustoszałym salonie
Gwer o kominek oparty.

W rozdartem fortepiano
Ktoś szuka rdzawej romancy.
Wszystko to spłynie rano
Z krwią naszą w partyzance.

Szopena nie grajcie tylko!
Serce już nie pomieści.
Dajcie odetchnąć tą chwilką
W antrakcie krwawej powieści.

W partyzantce, kwiecień 1944 r.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Z cyklu „Serce za drutem"

Wiedziałem, że tak będzie, gdy z dantejskiej bramy
—O, nie jest to przenośnia! wierzcie mi, że nie —
na świat ogromny wyjdę, nie tak łatwo tamy
zerwie serce spętane w niewolniczym śnie.

Wiedziałem, że czas długi dusić będzie w sobie
zgorzkniałe obrazy, koszmary złych snów,
że wiele chwil upłynie, zanim krwi mej obieg
rozpęta się w wichurze wyzwoleńczych słów.

Lecz nie wiedziałem tego, że gdy kwiat czereśni
majowym pocałunkiem dotknie moich ust,
sfolżeją od tych pieszczot, niźlim sądził, wcześniej
wiązadła krępujących moje serce uzd.

I nie myślałem nigdy, że jeszcze potrafi
po dawnemu znów wzruszyć mnie ptaszęcy głos,
że statek mój pijany, co osiadł na rafie,
pomyślnym jeszcze wiatrom swój powierzy los.

I że w tych nowych zwrotkach nie buntu kilofy
zagrzmią najpierw zuchwale, nie rozpacz i gniew,
lecz że jak dawniej moje wyzwolone strofy
na przekór złu pochwalą śpiew ptaków, szum [drzew.

SAMUEL RAJZMAN

ZAGŁADA TREBLINKI

Pociąg wchodzi na bocznicę. Teren otoczony zewsząd zasiekami z drutu kolczastego. Po wyjściu z pociągu podróżni dostają się na sąsiedni plac, otoczony wysokim parkanem, spleciony z gałęzi świerkowych. Przyjeżdżający pociągiem nie widzą co się dzieje za tym parkanem.

Na placu rozdziela się przybyłych — kobiety na lewo, mężczyźni na prawo. Natychmiast rozebrać się do naga, złożyć wszystkie pieniądze i kosztowności — a po kąpieli każdy otrzyma swoje depozyty z powrotem.

Po rozebraniu się zauważyłem między robotnikami swego przyjaciela inż. Galewskiego z Warszawy. Ten zwrócił się do jednego z esmanów z prośbą, by pozwolono przydzielić mnie do pracowników, na co otrzymałem pozwolenie. Ubrałem się i zostałem włączony do grupy robotników noszących paki odzieży z placu do magazynu. Moich towarzyszy podróży więcej nie widziałem.

Po kilkunastu minutach noszenia paczek cała sytuacja była dla mnie zupełnie jasna i w głębi serca uczułem ogromny żal do Galewskiego, że wyjednał dla mnie przywilej zostania narazie przy życiu. Niosąc bardzo ciężkie paki, musieliśmy biec przed szpalerem Niemców i ukraińskich faszystów, którzy w niemiłosierny sposób bili na chybił trafił cienkiemi nahajkami. Spostrzegłem odrazu, że wszyscy niosący paczki mieli okropne sińce i obrzęki od uderzeń w twarz. Już o godzinie 12-tej nikt z moich znajomych napewnoby mnie nie poznał, cała twarz była jedną siną masą, a oczy zalane krwią.

W przerwie obiadowej zwróciłem się do Galewskiego z wyrzutem, że uratował mi życie, wtedy nieoczekiwanie otrzymałem odpowiedź: „Nie uratowałem ciebie, abyś został przy życiu, lecz po to, abyś swoje życie za drogą cenę oddał. Jesteś od tej chwili członkiem organizacji konspiracyjnej, która ma wykonać zamach".

STACJA WĘZŁOWA

Plac kwadratowy wielkości około półtora na półtora kilometra, otoczony lasem, bocznica kolejowa w odległości trzech kilometrów od stacji kolejowej Treblinka na szlaku kolejowym Małkinia — Siedlce. Poczynając od maja 1942 r. codziennie z całej Polski, z okupowanych terenów ZSRR, Czechosłowacji, Niemiec, Austrji, Bułgarji i Grecji przybywały pociągi wiozące Żydów do Treblinki. Przeciętnie przybywało dziennie od trzech do czterech pociągów w składzie 60 wagonów, wiozących od 80—150 osób w wagonie. Pociągi dochodziły do bramy wjazdowej, a przed bramą eskorta pociągu wysiadała i pociąg przejmowała eskorta wewnętrzna składająca się z Niemców i Ukraińców.

Przekroczenie placu obozu przez żołnierzy eskortujących pociąg w drodze było surowo zakazane; szło o to, aby nikt prócz załogi wewnętrznej nie widział i nie wiedział, co się dzieje w obozie. Nie dość tego. Na głównej wieży obserwacyjnej była wmontowana syrena elektryczna i jeżeli samolot niemiecki zbliżał się do obozu, sygnalizowano mu, aby zboczył; i rzeczywiście żaden samolot nigdy nad obozem nie szybował. Barak wielki, przylegający do rampy, służył wewnątrz za główny magazyn zrabowanej odzieży — na zewnątrz były zawieszone rozkłady pociągów rzekomo odchodzących i przybywających do stacji Treblinki.

Po kilku miesiącach, kiedy Treblinka stała się głośna, zamieniono napis na „Ober-Majdan". Następnie duży drogowskaz „In Richtung nach Bialystok und Baranowicze", dalej „Telegraphenamt", „Fahrkartenausgabe", „Information", „Bahnhofvorsteher", „Bahnmeisterei". Szczególnie rzucał się w oczy ogromny napis i drogowskaz: „Umsteigen nach Richtung Osten" i duży zegar stacyjny. Oczywiście, w tych wszystkich barakach prócz odzieży, obuwia i szmat nic więcej nie było, ale zato na przybyłych i wysiadających z pociągu wywierało to wrażenie, że znajdują się na stacji węzłowej, gdzie mają przesiąść do innego pociągu na wschód.

DO KĄPIELI

Za parkanem splecionym z gałęzi świerkowych, zamiast linji kolejowej „Na wschód" — po obu stronach ciągnęły się baraki. Sterczały okropne kupy odzieży i obuwia w stertach do trzech metrów wysokości, dochodził skądsiś turkot bagru, który kopał olbrzymie doły, powietrze było nasycone trupim odorem.

Rozebrane kobiety ustawiano w kolejce dla dokonania zabiegu fryzjerskiego. Wszystkie kobiety strzyżono maszynką do skóry na zero. Włosy służyły Niemcom do robót tapicerskich, robiło się z nich materace dla matron „Herrenvolku".

Zakład kąpielowy składał się z 10 kabin, każda kabina mieściła 700 osób. W kabinach tych wisiały ręczniki i regulamin kąpielowy. Po wpuszczeniu ludzi do kabin zamykano je hermetycznie. Z początku wypompowywano powietrze, z biegiem czasu stosowano gazy trujące. Zostawiano ludzi w kabinie od 15 do 20 minut, nie dłużej, bo tłumy przyjezdnych oczekiwały swojej kolejki. Po 20 minutach ciała rzucano na palenisko. Zdarzało się, że po wrzuceniu w ogień ofiary wydawały rozpaczliwe krzyki. Niemcy nie reagowali na to, co najwyżej kazali przykryć nieszczęsnych trupami; trzeba było wyjątkowej litości, żeby który strzelił do płonącej żywcem ofiary. Przed wrzuceniem zmarłych do ognia grupa „dentystów" sprawdzała, czy który z nieboszczyków nie ma przypadkiem złotych zębów, koron, plomb; wszystko to wyjmowano z ust.

Robotników, którzy pracowali przy piecach, co kilka dni zwalniano; rzadko kto został przez dłuższy czas przy tej pracy. Zastępowano ich świeżemi siłami z pociągów przybywających codziennie. W nagrodę za przepracowane dni robotnicy ci nie szli do „kąpieli", zabijano ich kulą w tył głowy.

Ponieważ małe dzieci przy piersiach matek ogromnie przeszkadzały przy zabiegach fryzjerskich, z biegiem czasu Niemcy wprowadzili poprawkę: przy wysiadaniu z wagonów odbierano matkom niemowlęta. Dzieci zanoszono do olbrzymiego dołu, a kiedy zbierała się większa liczba, zabijano je z broni palnej i rzucano w ogień. Zabijając dzieci, Niemcy próbowali nowej broni. Przy tych czynnościach nie zwracali uwagi czy wszystkie dzieci są martwe, więc i płacz niemowląt rozlegał się z płomieni paleniska.

Jeżeli któraś matka uparła się zatrzymać dziecko przy sobie, a dziecko przeszkadzało u fryzjera, to jeden z funkcjonarjuszy SS nazwiskiem Emil Scepp chwytał dziecko za nóżki i tak długo walił niem o ścianę, dopóki nie została krwawa masa w jego rękach, potem pchał do rąk matki martwe ciało.

Chorzy, kalecy, starcy, którzy nie mogli poruszać się prędko, ginęli w ten sam sposób jak dzieci, gdyż dół znajdował się znacznie bliżej od rampy niż kabiny „kąpielowe".

Według terminologji niemieckiej dół ten nazywał się „lazaret". Wszyscy robotnicy zatrudnieni przy dole nosili opaski z czerwonym krzyżem na ramieniu.

SZYDERSTWO I MIŁOSIERDZIE

Przybywają pociągi z Austrji, Czechosłowacji. Jakiś staruszek, wybitny chirurg z Wiednia, który przywiózł ze sobą pełen wagon szczelnie naładowany instrumentami i precyzyjnemi aparatami chirurgicznemi, zwraca się na peronie do „Hauptsturmführera", żeby łaskawie zechciał polecić robotnikom, aby ostrożnie wyładowywali jego narzędzia pracy, zaznacza, że teraz podczas wojny tych przyrządów w razie uszkodzenia nawet naprawić nie można. „Hauptsturmführer" z całą powagą zapewnia, że wyładunek instrumentów nastąpi po powrocie profesora z „kąpieli", i tylko pod jego nadzorem instrumenty zostaną przewiezione na miejsce przeznaczenia. Profesor staje w kolejce, rozbiera się do kąpieli.

Nadchodzi transport z Wiednia. Starsza kobieta zbliża się do „Untersturmführera" Franza i legitymuje się dowodem, że jest siostrą czy kuzynką słynnego profesora Zygmunta Freuda, prosi go, aby zechciał łaskawie ze względu na jej podeszły wiek przydzielić jej jakąś pracę biurową. Kat przegląda uważnie jej dokumenty, oświadcza, że najwidoczniej w Wiedniu zaszła pomyłka, gdyż ona absolutnie wysiedleniu nie podlega. Zabiera dokumenty, radzi jej również złożyć kosztowności i prosi, aby zaraz po „kąpieli" p. Freud zwróciła się do głównej kancelarji obozu, gdzie będzie dla niej przygotowana przepustka i dokumenty podróży wraz z biletem kolejowym, tak, że jeszcze tego samego dnia następnym pociągiem wróci do Wiednia.

Przybywa pociąg z Warszawy, wysiada jakiś starszy pan i poznaje w „Hauptsturmführerze" swego dawnego przyjaciela, z którym przed wojną spotykał się na jakiejś konferencji międzynarodowej zagranicą. „Hauptsturmführer" przechodzi z nim do biura (wyjątkowy wypadek, aby Żyd przekroczył te progi), a z jakąś godzinę widać, jak ten pan w towarzystwie „Hauptsturmführera" wychodzi poza obóz. Na dziedzińcu słychać strzały. Robotnicy przynoszą martwe ciało. „Hauptsturmführer" chciał swemu przyjacielowi oszczędzić „kąpieli", zastrzelił go własnoręcznie strzałem w tył głowy.

ROBOTNICY OBOZU

Robotnicy, którzy nie pracowali bezpośrednio przy kabinach, należeli do grup robotników stałych. Nie odnawiano tej załogi co kilka dni, ale śmierć groziła za najmniejsze wykroczenie. Za kawałek chleba nie pochodzący z piekarni obozowej, za nieskrupulatne odpruwanie odznak żydowskich, żółtych łat z odzieży lub jakiegoś innego znaku, że odzież jest pochodzenia żydowskiego. Za przechowywanie w kieszeni 5 groszy lub obrączki ślubnej, ostatniej pamiątki po żonie groziła śmierć.

Rodzaje śmierci były rozmaite. Zakatrupienie knutami przy ciągłem oblewaniu delikwenta zimną wodą. Powieszenie na szubienicy za nogi. Poszarpanie przez psy — ulubiona zabawa „Untersturmführera" Franza. Rozstrzelanie było najłagodniejszą śmiercią przez wszystkich upragnioną.

Za picie wody podczas pracy, za palenie papierosa, nieodpowiednie salutowanie dostawało się od 25 do 120 razy knutem na gołe ciało. Przeważnie już po 50 razach robotnik był wykończony. Jeżeli kilkadziesiąt kubłów wody nie doprowadziło go do przytomności, rzucano delikwenta w ogień.

W zimnych zawszonych barakach zimą 1942/43 wybuchła epidemja tyfusu. Był więc również urząd, który się nazywał „Krankenstube". Robotnik, mający 40 stopni gorączki, zgłaszał się do lekarza. Ten odsyłał go na kilka dni do „Krankenstube", wtedy zjawiał się „Untersturmführer" Miette, którego specjalnością i pasją była selekcja chorych.

W każdej chorobie Miette prędko się orjentował, uważał, że chory najlepiej wyleczy się w „lazarecie", gdzie rzeczywiście kula przecinała pasmo cierpień. W ostatnich tygodniach udało się lekarzom żydowskim dostać zastrzyki usypiające i każdy taki pacjent, co do którego lekarze mieli pewność, że Miette zabierze go do „lazaretu", przed śmiercią dostawał zastrzyk.

Lekarze często musieli stosować zastrzyki na wzmocnienie serca lub na złą przemianę materji, wtedy robotnik żegnał się ze swoimi kolegami, gdyż nigdy nie był pewny, czy to nie zastrzyk „lazaretowy".

Ciężko chory na tyfus dostaje zastrzyk lazaretowy. „Untersturmführer" Miette pyta się lekarza, kiedy chory zaśnie, aby go zabrać; lekarz stwierdza, że za 20 minut chory już będzie spał. Przychodzą po 20 minutach robotnicy z Miettem na czele, aby wynieść chorego; ku wielkiemu zdumieniu zastają go siedzącego na pryczy, zajadającego z wielkim apetytem swoją dwustugramową porcję chleba razowego.

Ale „Untersturmführer" Miette nie pofatyguje się daremnie. Każe prowadzić chorego do „lazaretu". Po drodze robotnik krzyczy, że jest kompletnie zdrów. Nic nie pomaga. Za sprawienie rozczarowania „Untersturmführerowi" Miettemu mógł być powieszony za nogi, dostał jednak tylko wymarzoną kulę.

OPRAWCY

Dowódca obozu „Hauptsturmführer" Stengl, były właściciel sklepu w Wiedniu, miał namiętność do drogocennych kamieni i pereł, które całemi walizami wywoził do domu. Potrafił stać godzinami na wysokim wale z piasku, nad grobami, ręce wtykał do kieszeni i obserwował, jak palą się ciała kobiet i dzieci. Na piersi jego widniał krzyż zasługi. Brudnej roboty osobiście nigdy nie wykonywał, miał do tego dość pomocników, ale nigdy w dostatecznej mierze nie mógł się nasycić widokiem przybywających dziesiątków tysięcy ludzi, to też żadnego transportu nie przepuszczał. W dnie, kiedy transporty nie przybywały, wpadał w melancholję.

Zastępca dowódcy „Untersturmführer" Kurt Franz, wysoki, barczysty, z zawodu kucharz, urodzony w Turyngji, był postrachem obozu. W jego leksykonie wszyscy Żydzi nazywali się „Misthaufen". Ten miłośnik boksu, aby nie wyjść z treningu, codziennie przed śniadaniem wybierał sobie ofiarę spośród robotników. Delikwent musiał stać prosto, aby „mistrz" mógł odpowiednio celować. Już po pierwszych ciosach w twarz, robotnik zalewał się krwią i padał nieprzytomny na ziemię. Jeżeli Franz nie był zadowolony z wyniku treningu, ofiara wędrowała do „lazaretu".

Franz lubił przechadzać się po placu w towarzystwie psa Barry, zwierzęcia ogromnego wzrostu i niemniej dzikiego niż jego pan. Franz demonstrował zadziwiające wyniki tresury. Pies rzucał się na upatrzoną ofiarę i wyrywał kawał ciała. Franz sprawdzał, czy ukąszenie nastąpiło w odpowiedniem miejscu, a jeżeli pies chybił, to eksperyment zaczynał się na nowo. Większość pacjentów u lekarzy składała się właśnie z tych nieszczęśliwców. Po zakończeniu pracy znajdowało się zawsze kilku „przestępców", którzy dostawali od 25 do 100 batów; czynność ta była zawsze wykonywana przez Franza. I w tej dziedzinie wykazał zadziwiające zdolności.

Szef placu „Hauptscharführer" Kicha Küttner, z zawodu żandarm, był wcieleniem pruskiego żołdactwa; zawsze ponury, urzędowy, otaczał się bandą szpicli. Ulubionem jego zajęciem było wyszukiwanie „przestępców". Chciał się na drodze dosłużyć takiej rangi jak Franz, więc starał się go prześcignąć. Latał przez cały dzień po placu z nahajką w łapach, nie oszczędzając nikogo, kto mu się nawinął pod rękę. Szukał niedozwolonych prowiantów i podczas największego głodu w obozie za kawałek chleba znalezionego u robotnika karał śmiercią.

Tego zbója dosięgła pierwsza kula z rąk żydowskich.

Zastępca szefa „Unterscharführer" Emil Miette, o którym już wspominałem, w przeciwieństwie do Küttnera prawie zawsze uśmiechnięty, cały dzień latał między robotnikami, zaglądając każdemu w oczy — zdrów czy chory? Kiedy miał wyjeżdżać na urlop, zgóry obliczał ile dni będzie nieobecny w obozie i przed wyjazdem na zabezpieczenie od zachorowań zabierał kilkadziesiąt osób do „lazaretu".

Drugi zastępca szefa placu Sepp Hitreider, z zawodu szewc, gorliwy SS-mann, miewał dni zamroczenia, wtedy chodził po placu jak melancholik, nie odzywał się do nikogo. Niezastąpiony przy katowaniu nagich kobiet i zabijaniu niemowląt, otrzymał za swoją służbę odznaczenie.

ZAMACH

Komitet konspiracyjny, zawiązany w grupie robotników stałych, składał się z 10 ludzi. Komitet układał plan zemsty i zlikwidowania obozu. Trzeba było wydostać pewną ilość materjałów wybuchowych ze zbrojowni niemieckiej, która się znajdowała w obozie; to był jedyny środek, ale zbliżyć się do zbrojowni było prawie niepodobieństwem. Wszelkie próby nawiązania kontaktu, aby dostać trochę broni, spełzły na niczem. Opancerzone drzwi zbrojowni były zamknięte na ciężkie zamki. Jeden z robotników warsztatu ślusarskiego Zalcberg otrzymał dyspozycje komitetu, aby postarał się dostać odciski kluczy ze zbrojowni. Po kilku tygodniach kiedy wezwano go do reperacji małego uszkodzenia w zamkach, udało mu się zrobić dokładny odcisk. Pracował kilka miesięcy, aż udało mu się mimo niemieckiej kontroli dorobić klucze do wszystkich zamków; wręczył te klucze komitetowi.

Zorganizowano trzy drużyny bojowe po 20 osób, konspiracja była tak ścisła, że nikt nie wiedział kto jest jego towarzyszem. Komendę nad drużynami objął dr. Leichert, kapitan Wojska Polskiego. Prócz niego najczynniejsi w akcji zamachu byli dr. Chorążycki, Kurland, inż. Galewski, inż. Sudowicz, Zalcberg i Gello z Czechosłowacji.

Opracowano plan wysadzenia całego obozu w powietrze. O wyratowaniu się nie było nawet co marzyć, gdyż kozły przeciwczołgowe okałały drutem kolczastym cały obszar obozu. Warta zewnętrzna złożona z ukraińskich policjantów była tak silna, że nikomu nie śniło się nawet o możliwości wydostania się z obozu. Plan polegał na tem, żeby wydostać kilkadziesiąt ładunków dynamitu lub granatów i w oznaczonej chwili to wszystko jednocześnie zużyć.

Zbrojownia była silnie strzeżona, ale los zrządził, że w końcu lipca 1943 r. kazano oczyścić plac z cegieł i gruzów. Robotnicy żydowscy zajęci przy tej pracy, cały dzień krzątali się w najbliższem sąsiedztwie zbrojowni. Okoliczności nam sprzyjały, posterunek ukraiński nie zwracał uwagi na krzątających się robotników i dzięki temu w dniu 2 sierpnia o godz. 14 udało się otworzyć drzwi zbrojowni. Jeden z członków organizacji dostał się do środka. W zbrojowni naprzeciw drzwi wejściowych znajdowało się okno gęsto zakratowane. Po wyjęciu szyby koledze udało się wysadzić przez kraty 25 granatów, małych, ale zato bardzo silnego ładunku, 25 karabinów automatycznych i kilkanaście pistoletów wraz z nabojami. Wyszedł ze zbrojowni z powrotem niespostrzeżony przez nikogo. Cały materjał został natychmiast rozwieziony przez furmanów, którzy zwozili gruzy i cegły; podzielono go na placu między dowódców grup bojowych.

Na placu i w barakach pracował dezynfektor, który stale rozpryskiwał płyn dezynfekcyjny. Mając już materjały wybuchowe, komendant postanowił bezzwłocznie przystąpić do akcji. Dezynfektor wlał do aparatu rozpryskowego 25 ltr. benzyny, zupełnie swobodnie chodził po terenie i rozpryskiwał benzynę na objekty upatrzone do podpalenia.

Rozpoczęcie akcji było wyznaczone na godzinę 16.45. Pomimo konspiracji w obozie panowało ogromne podniecenie. Koledzy z grup bojowych, przewidując, że idą na niechybną śmierć, żegnali się wzajemnie. Jeden z oprawców wyczuwał, że nastrój w obozie jest niezwykły, ale nie mógł dojść przyczyny. Wobec takiego nastroju nasz komendant postanowił rozpocząć akcję o całą godzinę wcześniej. Oczywiście, niektóre przygotowania musiały z tego powodu być zaniechane, ale innego wyjścia nie było.

Sygnałem rozpoczęcia akcji miał być wystrzał z karabinu w okolicach baraków robotniczych. O godz. 15.30 zaraportowano komendantowi, że wszystko jest w pogotowiu, ludzie czekają na rozkaz.

O godz. 15.45 rozległo się klika strzałów z karabinów; to jeden z dwóch kolegów położył trupem oprawcę „Hauptscharfürera" Küttnera oraz szpicla Kuba. Już w następnej sekundzie uniosły się wybuchy 25 granatów jednocześnie i zagrały karabiny bojówki. Zanim Niemcy zorjentowali się, co się dzieje, już cały obóz ze wszystkich stron był ogarnięty silnym ogniem — nadeszła chwila zagłady.

Wraz z całym obozem, w którym zginęło 25 Niemców i 60 faszystów ukraińskich, zginęło około 700—800 robotników Żydów. Jedynie jakimś cudownym przypadkiem 200 ludziom udało się wydostać z ginącej Treblinki. Z tej liczby kilkudziesięciu poległo w lesie w potyczce z Niemcami, którzy wyruszyli w pościg z sąsiedniego obozu pracy.

Obecnie w oswobodzonej części kraju znajduje się 20 ludzi z grupy Treblinka — obóz śmierci.

WŁADYSŁAW KRASNOWIECKI

Wędrowny teatr wojskowy

Kilkanaście dni temu zespół naszego teatru stanął na scenie Domu Żołnierza w uroczystem oczekiwaniu, w wojskowym ordynku. Dano komendę: „Baczność, w prawo patrz!". Na szaro-zielonem tle mundurów zjawił się człowiek w cywilnem ubraniu, średniego wzrostu, siwawy; odebrał od dowódcy plutonu teatralnego raport. To Stefan Jaracz przyszedł do nas w odwiedziny. Nasz gość odebrał defiladę — jak przystoi na teatr—w postaci przeglądu fragmentu naszych robót, dokonanych między Oką i Bugiem.

Ta chwila wydaje mi się zakończeniem pewnego etapu w życiu naszej skromnej sceny... Patrzę na naszych aktorów stojących na scenie w oczekiwaniu dostojnego gościa i uśmiecham się mimowoli, jak uśmiecham się prawie zawsze, gdy słyszę szumną zapowiedź naszej młodziutkiej konferansjerki rozpoczynającą nasze koncerty: „Udział bierze cały zespół". Ten „cały zespół" ilością osób i zadań, jakie przed nim stawiał kapryśny los i kostyczny, artystyczny kierownik przypomina mi żywo opowiadania starych aktorów w przedwojennym Krakowie, gdzie jako teatralne pisklę porastałem w pierze. O tem, jak to „opera", operetka i dramat mieściły się na nocleg w jednej niewielkiej izbie.

Niewieleśmy z tym „całym zespołem" zwojowali w ciągu tego roku we wspólnej pracy, a jednocześnie tyle było przebytych kilometrów, tyle pokonanych i niepokonanych trudności, tyle pomyłek i rozczarowań, że młodziutkie Rysia Hanin i Halina Biling zdają mi się czasem czcigodnemi weterankami, a wcale dobrze zakonserwowany Marjan Nowicki — arcynestorem sceny. A w większości swojej ci ludzie nie zdają się, lecz są rzeczywiście ideowcami, bo zaiste nie głaskało ich życie po głowie w tym teatrze.

Stoją oni sobie narazie na „spocznij". Za nimi mocno sfatygowana dekoracja — tęcza, będąca podstawowem tłem naszych teatralnych wyczynów. Tylko w okresie naszej współpracy z Adamem Ważykiem, który, prócz Leona Pasternaka, jedyny z literatów wojskowych związał z teatrem pewien etap swej pracy w armji, pozwalaliśmy sobie na wystawne dekoracje, które miały wyobrażać Łazienkowski park, a mocno przypominały tło dla zdjęć jarmarcznego fotografa... Nieco opodal stoją dwie niewielkie skrzynie z kostjumami i rekwizytami. Nie! Stanowczo nie poroślismy zbytnio w pierze w ciągu tej fantastycznej karjery, gdy w okresie roku z teatru I-szej (zawsze najdroższej z drogich) dywizji przemianowano nas na Teatr Korpusu, potem Teatr Armji, a obecnie jesteśmy w przededniu wchłonięcia nas przez wielki, reperezentacyjny Teatr Wojska Polskiego. To i dobrze. Gdybyśmy byli zbytnio objuczeni doczesnemi dobrami, nie nadążylibyśmy za naszą armją. A pozatem... w jednej ze skrzyń leży szaro-niebieska wstęga płótna. Przypinaliśmy ją do owej dekoracji tęczy daleko na wschodzie. Była ta wstęga dla stęsknionych oczu i serc naszych widzów-żołnierzy — Wisłą. W teatrach bywa zwykle tak, że w ciągu roku zmieniają się na scenie style, epoki, grają barwy, a widownia zostaje ta sama. U nas było odwrotnie. Może i nie trzeba było bogatego kalejdoskopu na scenie, gdy widownia była coraz to inna — i widownia i ludzie na niej — gdy tyle było niewiarygodnego, cudownego poprostu, po tamtej stronie rampy (imaginacyjnej, oczywiście).

Cywile w zniszczonych ubraniach na spektaklu w komisji ewidencyjnej; w parę tygodni później ci sami już żołnierze jak się patrzy przyjmują nas równie serdecznie w pułku, do którego przybyliśmy. Wielka sztabowa świetlica zatłoczona. Nienawistna zieleń, znienawidzony krój munduru. Zaledwie ci nasi bracia, których Niemiec przemocą odział w swoje mundury, zjawili się między nami, już przybył do nich nasz teatr. W jakiś czas później ci sami, wcieleni w formacje naszej armji wybuchają razporaz śmiechem, gdy widzą zabawę naszych żołnierzy-aktorów we „fryców" odzianych w ich wczorajsze mundury, które zarekwirowali dla siebie. Aktorzy grający w Ważykowskim „Noclegu" żołnierzy I-szej dywizji w przeddzień bojowego chrztu grają w parę miesięcy później przed autentycznymi bohaterami spod Lenino. A potem na widowni mieszkańcy polskiej wsi wołyńskiej, a wśród nich jak mewy zwiastujące niedaleki ląd — Ojczyznę, pierwsze biało-czerwone znaki na czapkach partyzantów. Ledwo Bug został za nami, przedstawienie dla jednostki, która tylko co wróciła z bitwy już na polskiej ziemi. I wreszcie na widowniach teatru ludność polskich miast.

To ludzie, widzowie... A widownia? Świerkowe lasy pod Moskwą w jesiennem słońcu. Szkoły, ziemianki, chałupy w Smoleńszczyźnie, do których aktorzy i widzowie brnęli poprzez zaspy śniegu w nieustanną prawie zamieć. Wspaniałe sale Moskwy na Zjeździe Żołnierzy — Słowian. Żytomierski czarnoziem wyglądający spod śniegu. Kwiaty na wiosennych łąkach Wołynia i kwiaty rzucane nam na scenie w Równem, Łucku. Wstęga Bugu pozostaje w tyle na naszemi wiernemi, rozklekotanemi „gazikami"; odcina, zamyka okres wędrówki do kraju. I te na początku krótkie spacerki do jednostek kilometr — dwa rosną w błyskawicznem tempie do dziesięciu, trzynastu, sześćdziesięciu kilometrów. I zmartwienie z wykresem roboty, jak to obsłużyć należycie te ciągle nowe i ciągle rosnące jednostki. Radosny zaiste kłopot!

A z tej strony imaginacyjnej rampy, jakże często gryzące uczucie dysproporcji między tem, co chciałoby się powiedzieć ze sceny językiem teatru a ubożuchnym tegoż teatru warsztatem twórczym i technicznym. Te dwa nasze „gazy" natłoczone ponad przepisową pojemność ludźmi i teatralnym dobytkiem, lawirujące uparcie między naszemi armatami, czołgami, cała ta wspaniała broń, która szczękała, grzmiała i lśniła wokół nas, wydawały mi się często w chwilach smętnych rozmyślań staromodnemi dyliżansami, zabłąkanemi na pole nowoczesnej zmotoryzowanej wojny.

Pracowaliśmy nierówno. Po zrywie twórczym—impas. Głównie z powodu braku repertuaru. Kierownik literacki teatru musiał w naszych specyficznych warunkach być jedynym autorem, dostawcą tekstów. Praca ponad siły jednego człowieka. Prócz tego nasi kierownicy literaccy nie popasali u nas długo i „z przyczyn od dyrekcji niezależnych". O nowy kostjum było znacznie trudniej niż o nowy sceniczny pomysł. Łatwiej było przy współpracy Aleksandra Barchacza, kompozytora naszego teatru, o nową ciekawą melodję niż o jeden jedyny akordeon, który przez długi czas był naszem niedościgłem marzeniem. Reżyser miał do dyspozycji prawie wyłącznie początkujących aktorów, musiał jednocześnie i szkolić ich i przygotowywać z nimi premjerę.

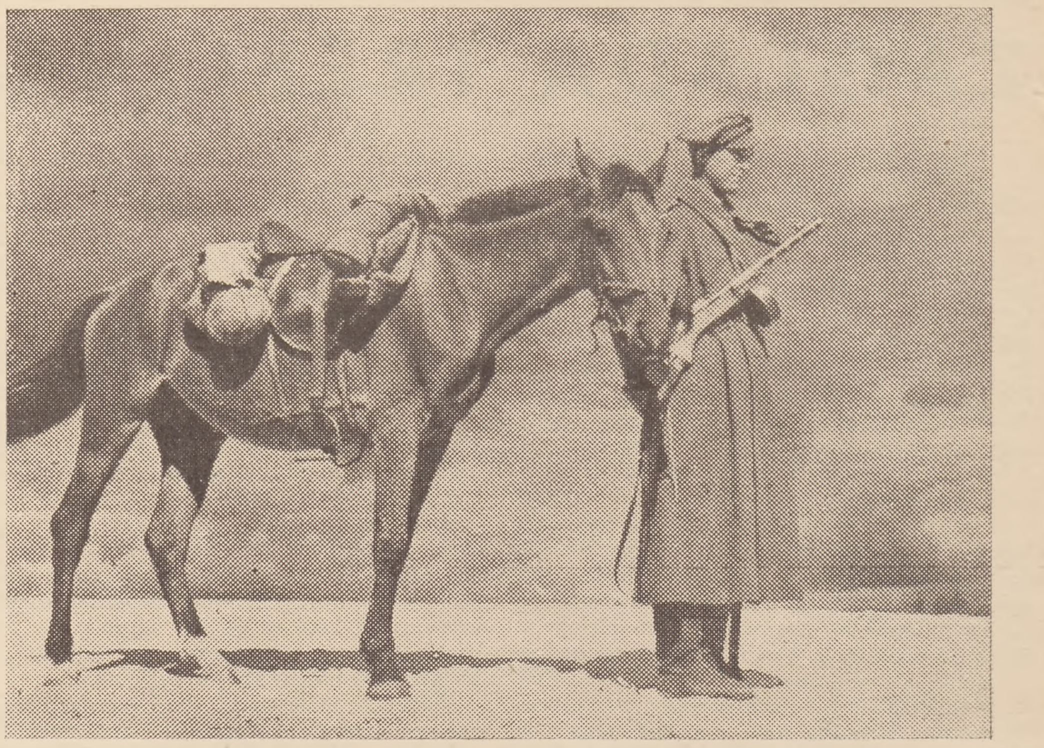
Gdy się gra w coraz to innych warunkach, na innych scenach, których jedyną wspólną cechą jest brak kurtyny, dekoracji, świateł, zamkniętej, zaciemnionej widowni, słowem — brak całego aparatu teatralnych czarów, realizator musiał siłą rzeczy odrzucić wszystkie swoje teatralne nawyki i uczyć się często na gorzkiem doświadczeniu, wynajdywać nowy, surowy, prosty, teatralny język. Musiał ubóstwo i braki teatralnego aparatu przerabiać na styl tegoż teatru. Niema kurtyny — zrób tak, żeby aktorzy i widzowie mieli wrażenie, że kurtyna byłaby zbędną i szkodliwą płachtą. Niema kostjumów — postaw jako regułę: gramy w mundurach. A jeżeli są wyjątki od tej reguły, to z głęboką artystyczną motywacją jednej czy drugiej barwnej plamy na szaro-zielonem tle. Młodziutcy aktorzy grali codziennie na innej przestrzeni scenicznej, latem oświecało ich słońce, zimą naftowa lampka, od święta reflektor samochodu. W jakiej scenicznej formie będzie mógł realizator uzbroić ich należycie przeciwko niebezpieczeństwom zewsząd czyhającym? Najpełniej doniosą do widza treść i formę spektaklu, jeżeli to będą krótkie, zwarte obrazki sceniczne, gdzie ruchy aktorów reżyser ujmie w karby skomponowanych ewolucyj, da muzykę jako liryczne tło ich słów, słowem narzuci im rytm, z którego nic ich wytrącić nie zdoła.

Na to, co się z naszych doświadczeń zrodziło w tym kierunku, utarła się u nas nazwa scenicznej kompozycji. Klasycznym do pewnego stopnia przykładem tych usiłowań jest sceniczna kompozycja z „Noclegu" Ważyka — „Kościuszkowska sukmana". Wiersz Ważyka rozpłomienił nas i zelektryzował. Temat: trzy dziewczęta z okolic Krakowa szyją dla Kościuszki sukmanę w przeddzień jego przysięgi na krakowskim rynku. Opowiadają sobie o Kościuszce, o jego bohaterstwie w starym i nowym świecie, o doli chłopskiej, o wolności, do której prowadzi droga przez walkę. I zapragnęliśmy gorąco, żeby teatr nie tylko mówił o Kościuszce, ale pokazał żołnierzom patrona naszej I-szej Dywizji, pokazał mimo, że postaci Kościuszki na scenie nie będzie. Przecież dziewczęta widziały Naczelnika parę godzin temu, jeżeli szyją dla niego sukmanę, to włożą ją na jedną z dziewczyn i poczną z troską o to, ażeby sukmana dobrze leżała, pozować swój żywy manekin tak, jak w ich naiwnej wyobraźni będzie się pozował Naczelnik jutro na Krakowskim Rynku (historyczny fakt, że Kościuszko wdział sukmanę dopiero po racławickiej bitwie, niema tu oczywiście znaczenia). Szycie sukmany, to realistyczna podstawa inscenizacji, przeradza się nito w natchnioną zabawę młodych dziewcząt, nito w minjaturowy (jeżeli można zestawić te dwa słowa) rapsod ludowy o Naczelniku w sukmanie. Ot i żywy Kościuszko na scenie bez szminki, bez peruki i innych grubych środków dla teatralnej iluzji.

Gdy bieg wojny przybliżył chwile naszej pracy dla cywilnej ludności polskiej, przystąpiliśmy do realizacji dawno w sercu piastowanej myśli, żeby na sceny polskie wprowadzić zaraz w pierwszym dniu swobody któregoś z klasyków naszej dramaturgji, nie czekając, aż uczynią to lepiej od nas profesjonalne, miejscowe teatry. Wybór padł na „Śluby panieńskie" Fredry jako sztukę, odpowiadającą naszym personalnym i innym możliwościom. Sądziliśmy, że nieuniknione usterki łacniej nam wybaczy imć pan oficer ordynansowy napoleońskich wojsk, niż któryś z naszych wielkich cywilnych, jako że zna warunki obozowe, w jakich przygotowaliśmy ten tęczowy poemat o miłości. Ludność wyzwolonych miast słuchała komedji Fredry, jak misterjum narodowego. I sądzę, że ten jedyny spektal o fakturze zawodowego teatru spełnił swoje zadanie. Nawiązaliśmy w naszych skromnych możliwościach do wielkiej tradycji polskiego teatru. Młody zespół urósł aktorsko w robocie nad Fredrą. Jednak zasadnicza fizjognomja teatru wędrującego ze swą armją do Polski, jego styl — to maksymalna umowność, to bujająca swobodnie fantazja realizatora mimo, a raczej z powodu braku całego technicznego aparatu teatralnego. To mieszanina prymitywu i głębokiego liryzmu, podniosłości i jarmarcznego zgiełku. To teatr, który jest możliwy, żyje i czaruje tylko wtedy, jeżeli znalazł drogę do serca widza, jeżeli jest z nim w niepisanej zmowie, jak to bywa między dziećmi w ich zabawach...

Gdy Stefan Jaracz żegnał się z nami, jedna z naszych aktorek wręczyła mu bukiet biało-czerwonych kwiatów. „Od tych, którzy rozpoczęli swą aktorską drogę między Oką a Bugiem".

Nikt nie pisał kroniki naszego teatru. Zeszyty, dzienniki zajęć zaginęły podczas nieustannych wędrówek. Ale są żywi, oni, aktorzy, którym dane było przeżyć ten niepowtarzalny rok. Rozejdą się po polskich teatrach i w tradycje polskiego aktorstwa wejdzie typ aktora-żołnierza, który aktorem stał się w drodze do Polski. I opowiadać będą nowym pokoleniom aktorskim o naszym wędrownym teatrze. I te opowiadania, ta ustna tradycja — to będzie może jedyny, a jakże piękny szlak, jaki zostawi nasza roczna praca.



Nad Wisłą

fot. Wł. Forbert



Kolumna jeńców niemieckich na ulicach Pragi

fot. Edm. Zdanowski

Wspominam Boya

W lwowskim klubie pisarzy proszono mnie bardzo często: zrób Boya! Wysuwałem wówczas szczękę, marszczyłem brwi, opuszczałem kąciki ust, powolnym ruchem wyciągając z kieszeni zegarek i mówiłem: „Punktualnie druga". — „To znaczy, dwunasta? — pytano wśród wybuchów śmiechu. — Druga po nowemu, to dwunasta po staremu". — „Nie, punktualnie druga" — twierdziłem poważnie i chowałem zegarek do kieszeni.

Boy-Żeleński szybko przyzwyczaił się do nowego czasu, który postarzał go o 2 godziny, a odmłodził o 15 lat, cofnął do okresu „Słówek" i „Balonika". Boy — chodził na wszystkie wieczory literackie młodych pisarzy; profesor dr. Żeleński — wykładał na uniwersytecie; obywatel Boy-Żeleński — pracował jako członek Komisji Związku Pisarzy; Boy-Żeleński pisał recenzje teatralne, był członkiem redakcji „Nowych Widnokręgów".

O profesorze Żeleńskim krążył we Lwowie dowcip: Boy-Żeleński przeżywał drugą młodość — według nowego czasu czwartą. Kiedy dyrektor „Litfondu" na zebraniu pisarzy mówił, że w wypadku śmierci członka Związku Pisarzy rodzina jego otrzymuje zapomogę, Boy z poważną miną zapytał: „Czy można prosić o zaliczkę?"

Po moim wieczorze autorskim powiedział mi Boy-Żeleński, że bardzo mu się spodobał mój liryczny humor w wierszach. Odpowiedziałem mu wtedy: „Boy mi powierzył humor Polaków, Bogu tylko go oddam". Boy uśmiechnął się. „Narazie nie jesteście Józefem Poniatowskim, tylko Józefem Nachtem. Pozatem strasznieście młodzi. Młodość, to najwspanialszy dar przyrody; ale, niestety, przyroda rozdziela go niesłychanie niesprawiedliwie. Obdarza młodością naogoł smarkaczy, żółtodziobów, młodzieńców". — Boy-Żeleński mówił strasznie poważnie, tonem uniwersyteckich wykładów. — „Ot, taka jest różnica między księciem i poetą. A jaka różnica między księciem Poniatowskim a ministrem Poniatowskim? Taka, jak między Berezyną a Berezą". W tym maleńkim kalamburku mieści się cały ogrom pogardy i lekceważenia Boya dla rządów przedwrześniowych Polski.

W ostatnią niedzielę sierpnia 1940 r. Związek Pisarzy rozgrywał mecz piłki nożnej z artystami Teatru Dramatycznego. Sędziowski gwizdek. Z szatni wybiegają poeci, krytycy, prozaicy, wybiega Bartosz Głowacki (Lech Madaliński) i Uriel Akosta (Kreczmar) w sportowych majtkach. Sędzią meczu był Boy-Żeleński. Na gwizdek profesora Boya obie drużyny posłusznie ustawiły się po dwu stronach boiska i gra rozpoczęła się.

Stoję przed lustrem: robię Boya. Już nie bardzo mi się udaje. Ten Boy z lustra ma łzy w oczach.

Józef Nacht

Uwagi o pracach

Juljusza Kleinera

Działalność naukowa i literacka Juljusza Kleinera rozpoczęła się w roku 1906, gdy miał lat dwadzieścia (urodził się we Lwowie 24 kwietnia 1886 roku). Nacechowana jest ona harmonją dwóch dążeń: dążenia do ścisłości i wszechstronności naukowej, oraz dążenia do artystycznego wyrazu i artystycznej kompozycji.

Studjował w uniwersytecie lwowskim polonistykę, germanistykę i filozofję. W roku 1908 uzyskał tytuł doktora filozofji; w tymże roku pracować zaczął w szkole średniej; szkolnictwem średniem i jego metodami dydaktycznemi interesować się będzie żywo także w ciągu profesury uniwersyteckiej. W latach 1910 i 1911 kontynuował studja w Niemczech i w Paryżu; do Paryża wracał potem kilkakrotnie dla badań naukowych. W roku 1912 habilitował się jako docent historji literatury polskiej na wydziale filozoficznym uniwersytetu Jana Kazimierza; w roku 1913 rozszerzył habilitację na politechnikę lwowską. W latach 1916 — 1920 był profesorem uniwersytetu warszawskiego; został też wówczas profesorem Wolnej Wszechnicy Polskiej. Od roku 1920 jest profesorem uniwersytetu lwowskiego; w roku 1927-1928 piastował godność dziekana wydziału humanistycznego. Jest członkiem czynnym Polskiej Akademji Umiejętności i akademikiem literatury.

W dwu pierwszych latach wojny, jako kierownik katedry literatury polskiej, stał na straży kultury polskiej Lwowa. Brał żywy udział w uroczystościach ku czci Mickiewicza, wygłosił wtedy znakomity referat o twórczości autora „Pana Tadeusza".

Wśród licznych dzieł prof. Kleinera naczelne miejsce zajmują trzy obszerne monografje o trzech wielkich romantykach. Czterotomowa (właściwie pięciotomowa, bo tom piąty dzieli się na dwie części) monografja o Słowackim, ogłoszona w latach 1919-1927, ma podtytuł „Dzieje twórczości". Daje ona pełny obraz ewolucji duchowej poety, rozwoju jego idei i artyzmu. Utwór literacki jest dla Kleinera przedewszystkiem dziełem sztuki.

Każdemu utworowi użycza bogatego tła porównawczego i wyznacza mu miejsce w literaturze światowej. W ten sposób związał uczony również mistykę poety z wszelkimi jej źródłami i analogjami na terenie wiekowych tradycji mistycznych.

W monografji o Słowackim, podziwiać możemy niejednokrotnie intuicję, z jaką prof. Kleiner podchodzi do utworów niedokończonych, lub fragmentarycznych; jego rekonstrukcje „Horsztyńskiego", lub „Złotej Czaszki", mają w sobie siłę bezwzględnie przekonywającą. W dziele o Słowackim wysuwają się na czoło zagadnienia artystyczne; ta jednak strona monografji dzisiaj już zadowolić nie może. Czas posunął się naprzód, wojna, tocząca się w chwili obecnej, ukazała inne cechy twórczości Słowackiego, podkreśliła potęgę niektórych jego utworów, inne w cień usunęła. Ten proces nowego stosunku do Słowackiego zaczął się już głęboko przed katastrofą światową; już rok sprowadzenia prochów Słowackiego do kraju przyniósł pewne rewizjonistyczne, aczkolwiek cząstkowe spojrzenia na dzieło poety.

Prof. Kleiner pierwszy zajął stanowisko krytyczne względem kultu Młodej Polski dla „Króla-Ducha", stwierdził, że nie jest to arcydzieło poety, że wyżej stoi „Anhelli", „Lilla Weneda", „Ksiądz Marek", „Genezis z Ducha". „Król Duch" pozostaje jednak i dla prof. Kleinera szczytowym objawem romantyzmu; dla nas jest ten poemat niestrawny, mimo niezwykłych błysków czarodziejstwa poetyckiego, i to nie tylko ze względów ideologicznych, ale właśnie również artystycznych. Wogóle na całą mistyczną epokę Słowackiego patrzymy dzisiaj, jako na okres kruszenia się genjuszu poetyckiego autora „Genezis z Ducha".

Zapewne, pojawiały się w mistycznym okresie twórczości poety niezwykłej piękności mniejsze utwory i fragmenty, ale opuszcza wtenczas Słowackiego zdolność tworzenia konsekwentnych, skończonych całości; oktawa staje się aż nadto taktem, rozlewnoć niema granic, rozrzutność barw i blasków jubilerskich staje się niepokojąca. Wiemy dziś dobrze, że to te właśnie utwory Słowackiego stały u kolebki poetycznej, niestety, nazbyt poetycznej prozy autora „Popiołów" i „Dumy o Hetmanie", że one tak fatalnie zaciążyły nad niezdyscyplinowaną mową Młodej Polski, przyczyniając się do skrzywienia naszej literatury w doniosłym okresie literatury światowej.

Na stosunek Kleinera do artyzmu Słowackiego wpłynęła niekorzystnie epoka, która wydała Micińskiego i Kasprowicza. Niema w dziele o Słowackim dostatecznej hierarchji wartości. „Uspokojenie", wiersz Słowackiego o Warszawie, ten genjalny wiersz, wyprzedzający w poezji europejskiej wizje Rimbauda, nie znajdzie w estetyce profesora miejsca należnego. Logiczno-retoryczny tok „Grobu Agamemnona" jest mu niewątpliwie bliższy. „Rozłączenie", utwór fenomenalny (krajobraz w ruchu, stający się w naszych oczach) w zestawieniu ze statycznemi, mimo wszystko, krajobrazami poematu „W Szwajcarji", nie znalazł odpowiedniego naświetlenia. Również proza Słowackiego wymagałaby specjalnego w tak obszernem dziele omówienia, zwłaszcza proza listów. Zdumiewającą jest rzeczą, w jak małym stopniu korzystała z niej późniejsza proza polska, z wielką dla siebie szkodą. Słowacki, podobnie jak i inni autorzy, których twórczość omawia uczony, jest dla niego przedewszystkiem działaczem w sferze tak zwanego „ducha", nie określa go jednak dość mocno w sferze historycznej i socjalnej.

Są to tylko szczegóły, ale charakterystyczne dla idealistycznej i estetycznej postawy prof. Kleinera; w swoich odczuciach nie wychodzi on poza estetykę Młodej Polski, złagodzoną jednak i uszlachetnioną znajomością stylów literatury światowej.

Trudno o tych cechach mówić, jako o wadach świetnego dzieła o Słowackim. Książka ta nosi tylko, jak każda monografja, znamiona swej epoki. I nikt na to nie poradzi, że monografje poetów starzeją się szybciej niż oni.

W pierwszej monografji Kleinera „Zygmunt Krasiński" („Dzieje Myśli") (rok 1912) znalazły wyraz jego zainteresowania filozoficzne. Autor po raz pierwszy wykazał najściślejszy związek myśli Krasińskiego z myślą europejską. W roku 1934 ogłosił prof. Kleiner trzecią swą monografję: tom pierwszy „Mickiewicza" („Dzieje Gustawa") — pełny obraz życia i twórczości poety; na tle bogatem, znajdujemy tu próby nowych naświetleń „Dziadów" części II, IV i I i „Sonetów krymskich". Całość objąć ma trzy tomy. Tom II-gi ukończony został w czasie wojny i będzie mógł niebawem się ukazać. Dopiero pojawienie się całości dzieła pozwoli ocenić, w jakim stopniu udało się Kleinerowi zdobyć nowe spojrzenie na twórczość największego poety polskiego, o którym nie napisano dotychczas wartościowej monografji.

Wielką wagę ma również działalność profesora jako wydawcy dzieł Słowackiego. Najwyższym wymaganiom naukowym odpowiada krytyczne wydanie „Dzieł wszystkich" Słowackiego pod jego redakcją; przeważną część tomów sam opracował. Wyszło dotąd 10 tomów; całość obliczona jest na 16 tomów. Początkiem tej pracy wydawniczej była edycja „Beniowskiego", która dała układ właściwy i tekst poprawny pieśniom ze spuścizny rękopiśmiennej, tak że czytelnicy, znający poemat z edycji Małeckiego, stanęli wobec nowego naprawdę utworu. W podobnie rewelacyjny sposób ustalona została postać szeregu innych dzieł, pozostawionych przez poetę w rękopisie. Zapowiedzią tej krytyki tekstu była wydana w roku 1910 praca filologiczna „Układ i tekst pism Słowackiego".

Spośród wielkiej liczby rozpraw i szkiców, część została zebrana w tomy studjów: „Studja z zakresu literatury i filozofji" (szczególnie ważne są tu rozprawy o „Bajkach i Przypowieściach" Krasickiego i o „Proroctwie księdza Piotra"), „Sztychy" (1925 r.), „W kręgu Mickiewicza i Goethego" (1939 r.). Tu na czoło wysuwają się: studjum „O „Panu Tadeuszu" — książce budującej", które było zamknięciem głośnej przed laty polemiki o wartości epopei mickiewiczowskiej, oraz rozprawy o „Fauście" Goethego i jego powieści „Wahlverwandtschaften", będącej jego etycznem wyznaniem wiary. Dla niemieckiego wielotomowego wydawnictwa „Handbuch der Literaturwissenschaft" napisał prof. Kleiner „Literaturę polską" (Polnische Literatur, 1929), włączenie literatury naszej w całość literatur europejskich.

Szkołę polską obdarzył uczony dwutomowym podręcznikiem licealnym, który jest pierwszym u nas ujęciem dziejów piśmiennictwa, jako dziejów sztuki. Książka ta miała zwolnić z dotychczasowego jej stanowiska „Historję literatury polskiej" Ignacego Chrzanowskiego (obejmującą zresztą tylko okres Polski przedrozbiorowej), oraz podręcznik Wojciechowskiego. Podręcznik Chrzanowskiego, odznaczający się jasnością i popularnością wykładu, pisany z dużym temperamentem, był zbyt jednostronny. Nie były to właściwie dzieje literatury, lecz katechizm patrjotyzmu w duchu szlachecko-sarmackim: „wieczory pod lipą" literatury polskiej. Profesor Kleiner uniknął tendencyjności przejaskrawień podręcznika Chrzanowskiego, zajmuje jednak zbyt wyłącznie idealistyczne i estetyzujące stanowisko, co wobec koniecznego w literaturze, przeznaczonej dla szkół, uproszczenia trudnych zagadnień, nie mogło dać pełnych rezultatów. Niedostateczne uwzględnienie tła socjalnego, idealistyczne podejście do zjawisk życia i literatury — wszystko to sprawia, że nakreślony tu obraz piśmiennictwa polskiego, mimo wnikliwych spostrzeżeń, doskonałych charakterystyk pisarzy, pięknego języka, nie jest wystarczający. Zjawiska literatury ostatniej doby omówione są ogólnikowo i nieco retorycznie; pozatem budzi zastrzeżenia zbyt łagodny stosunek do wielu problematycznych utworów tego okresu. Kleiner ma przyjazny stosunek do swoich współczesnych; podobnie jak przeceniał Kasprowicza, lub Żeromskiego, tak też przecenia nieraz pisarzy ostatniej doby. Jest uczuciowcem, reaguje żywo, wrodzona łagodność nie pozwala mu „kląć żadnego ruchu", kocha młodych, bo kocha życie. Nie zapominajmy i o tem, że ten doskonały stylista jest również świetnym wykładowcą, który umie słuchacza wzruszyć samym tokiem swej dźwięcznej i uskrzydlonej prozy.

Mieczysław Jastrun

TEATR POLSKI WE LWOWIE

Teatr Polski we Lwowie wznowił przedstawienia 18 sierpnia br., czyli w trzy tygodnie po oswobodzeniu Lwowa przez Czerwoną Armję. Tajemnica tak szybkiego zorganizowania się leży w tem, że artyści nasi zawsze „trzymali się kupy" przez cały czas okupacji niemieckiej. Schodzili się, pomagali sobie, utrzymywali kontakty, czytali sobie utwory potajemnie w mieszkaniach Życzkowskiej, Młodnickiego, Dąbrowskiego i w ten sposób jakimś cudem utrzymywali się przy życiu.

„Ich czworo" Zapolskiej było pierwszą premjerą, którą zagrali artyści. Było to swego rodzaju przeżycie. Po trzech latach spędzonych jakby w ciężkiem więzieniu — nagle: sala teatralna, kinkiety, ożywiona publiczność i słowo polskie, które płynęło ze sceny, ściskające gardło przedziwnem wzruszeniem.

Właściwie nie była to premjera. „Ich czworo" grano we Lwowie w teatrze podziemnym. Ludzie szeptali sobie na ucho — że gdzieś w mieście jest teatr polski, dający przedstawienia zakonspirowane i tylko wybranym a odważnym widzom. Było to w zimie 1943, w owym najcięższym okresie, kiedy nadzieja walczyła ze zwątpieniem. W owym to czasie przy sodalicji żeńskiej powstało amatorskie kółko teatralne, które obrało sobie siedzibę przy ul. Zofji 35. W napół rozwalonym domu, w jednym dużym pokoju schodzili się nasi artyści, a także gorący entuzjaści teatru; czytali sobie utwory, robili małe inscenizacje. Duszą przedsięwzięcia był Tadeusz Surowa. Z tej artystycznej, a bardzo niebezpiecznej imprezy powstała koncepcja zagrania jakiejś większej sztuki. W maju 1944 z inicjatywy Artura Młodnickiego i Bronisława Dąbrowskiego narodził się teatr podziemny. Artyści własnemi siłami zmontowali na strychu tegoż budynku scenę, którą zaprojektował Jan Dudkiewicz. Warto było widzieć tę osobliwą scenę zrobioną z desek, tektury, tkaniny papierowej, oświetlonej reflektorami pożyczonemi sobie potajemnie z wystaw niemieckich sklepów. I tak zagrano „Ich czworo" Zapolskiej. Zagrali — Irena Tomaszewska, Teresa Suchecka, Zdzisława Życzkowska, Janina Mikołajówna, Tadeusz Surowa i Bronisław Broński. Reżyserował oczywiście Dąbrowski. W dniu 3 czerwca 1944 odbyła się pamiętna premjera. Przy szczelnie zapełnionym „strychu" przemawiała docent dr Stefanja Skwarczyńska. Ponieważ oklaski były wzbronione, przeto w ciszy zasypano artystów kwiatami. Przedstawień odbyło się razem trzy, a później już, t. zn. 18 sierpnia, teatr wystąpił z podziemi (a raczej ze „strychu") i w tym samym składzie osób zagrał sztukę już otwarcie, z całą swobodą, a równocześnie z temperamentem ludzi, którzy dorwali się wreszcie ról. Były huragany oklasków, były rozognione twarze, bukiety kwiatów naprawdę zasłużone.

Drugą sztuką był „Burmistrz Stylmondu" Maeterlincka. „Ich czworo" było wstępem trochę gorączkowym, zagranym radośnie. „Burmistrz" był już spektaklem spokojnie, starannie przygotowanym. Stara to sztuka, ograna na wszystkich scenach świata, ale w dzisiejszej chwili nabierająca dziwnych rumieńców świeżości. Belgja została w roku 1914 napadnięta przez Niemców i zniszczona. W Belgji właśnie przed 30 laty odbyło się w małej skali to, czego jesteśmy świadkami dzisiaj. Właśnie tam Niemcy rabowali, mordowali, wywozili do Niemiec, tam właśnie stworzyli pierwszy obóz koncentracyjny w Namur, gdzie wymordowali 20.000 kobiet, starców i dzieci. To dla przypomnienia. Teraz właśnie Belgja została oswobodzona i słowa wymawiane w końcowej scenie przez młodego syna burmistrza Florjana nabrały swoistego znaczenia. Po 30 latach przyszedł dzień odwetu. Pozdrawiamy Belgję, bohaterski kraj!

Trzecią sztuką jest „Ostrożnie, świeżo malowane" Fauchois. Sztuka ta jest wznowieniem, gdyż była grana we Lwowie w 1941 roku. Spektakl żywy, tnący boleśnie francuską burżuazję, mimo wesołego zacięcia typowej komedji bulwarów paryskich rzuca ponury cień na sprawy kulturalne przedwojennej Francji. Oto artysta malarz umarł w nędzy. W jakiś czas po jego śmierci krytyka przypadkiem odkryła go, stwierdzając niepospolity talent. Zaczyna się poszukiwanie obrazów nieboszczyka, których ceny idą w górę z dnia na dzień. Krążą już hieny spekulacyjne, oszuści licytują się. W grę wchodzą seki tysięcy franków, a on — mistrz — zginął w nędzy gdzieś na barłogu.

Teatr nasz zagrał sztukę w obsadzie prawie że tej samej co w 1941, z wyjątkiem Zarębińskiej, zabitej przez Niemców w obozie koncentracyjnym. Rolę służącej Urszuli graną przez Chaniecką wykonała Życzkowska.

Fama o zespole naszego teatru dotarła do Kijowa i Moskwy, skąd przyjeżdżają artyści i reżyserzy specjalnie, by przypatrzyć się grze naszych artystów.

Dąbrowski, kierownik teatru, prowadzi swoją gromadkę ku coraz nowym wyczynom. Żyteccy, po okresie nędzy za Niemców, teraz rozkwita pełen radości życia. Monokl w jego oku znany jest wszystkim dziewczętom Lwowa. Oczywiście, oczkiem w głowie naszego miasta jest Leliwa — „ten Leliwa". Wchodzi on w okres swoich największych możliwości. W roli ogrodnika Clausa jest staruszkiem pełnym wzruszającej nieporadności. Patrzcie na Leliwę, jak płacze w sztuce Maeterlincka. A potem w „Ostrożnie, świeżo malowane" jest małomiasteczkowym doktorem Gagarin, trochę kołtunem, który zamienia się stopniowo w chytrego spekulanta. Życzkowska przeżywa okres artystyczny, mając przed sobą szereg możliwości, odcieni, niuansów. Jest Suchecka, jest Tomaszewska, piękne amantki, robiące z każdej roli majstersztyk, jest Młodnicki, Surowa, Szymański, Hierowski, Woźniak. Nasi artyści uczą młodych i to jest ważne. Przy teatrze otworzyli coś w rodzaju studjo. Prowadzi je Bardini przy współudziale Kollera, Żyteckiego i innych. Cegielski i Tenerowicz malują, muzykę komponuje Czosnowski. Słowem, zespół Teatru Polskiego w całej okazałości i blasku chce wystąpić w „Weselu".

Jan Brzoza



Żołnierze polscy na ulicach Pragi
fot. Konowałow i Kapustiański

IGOR SIKIRYCKI

PLAN DNIA

Ranek.
Mgieł nad łąkami mleczny tuman —
To owczarz długo fajkę tlił.
Ten dzień co wczoraj w mroku umarł,
Liściem łopucha otarł łzy.

Południe.
Słoneczników słoneczne fontanny.
Pierś jeziora ssie sennie tatarak.
Słyszę ziemi oddechem pijany:
W stogu świerszcz nakręca zegarek.

Noc.
Niebo nasiąka mrokiem jak bibuła.
Drży wieś schwytana w rzeki srebrny arkan.
To mnie wciąż grozi wierzby kułak
I kły szyderczo szczerzy parkan.

W TEATRZE LUBELSKIM

Nie jestem zawodowym krytykiem, ani recenzentem teatralnym. Nie jestem również literatem. Ale jestem człowiekiem skądinąd wrażliwym i dlatego chciałbym zabrać głos. Trafiłem do teatru lubelskiego na sztukę „Muzyka na ulicy".

Przed kurtyną stanęło trzech facetów z kornetem, harmonją i skrzypcami i zaczęli sztukę w teatrze dramatycznym wielkiego miasta od odśpiewania jakiejś brukowej piosenki. Ostatecznie możnaby się na to zgodzić. Trudno przecież wymagać, aby podwórzowi grajkowie śpiewali wyjątki z oper, ale nie można zgodzić się na wykonanie. Każdy z nich grał dla siebie, a śpiew — pożal się Boże...

Mógłby mi ktoś odpowiedzieć, że kierownictwo specjalnie starało się o to, aby widz miał mocne wrażenie bezpośredniości, ale na Boga, pocóż tedy iść do teatru? Wystarczy podejść do okna, gdy przechodzą „muzykanci" i ma się tę samą przyjemność, często nawet większą, bo najczęściej uliczni grajkowie są lepsi, niż aktorzy w ich roli.

No i po tym wstępie „zaczęła" się sztuka. Właściwie byłoby nonsensem nazwać to sztuką.

W pewnem miejscu (zaraz na początku) odniosłem dzikie wrażenie, że jestem nie w teatrze, ale w cyrku. Aktorzy chodzili po krzesłach, po stołach, aktorki wyczyniały ekwilibrystykę wszystkiemi częściami ciała; pluto na podłogę czarną kawą i miotano się po scenie w jakichś nierozumiałych i bezsensownych ruchach, mających uwidaczniać nieprzyjemne wrażenie smaku tejże kawy. Nie myślimy jednak, że było tak źle. Sztuka ta miała nawet dobry moment. Starano się ją zaktualizować, więc wprowadzono do tekstu słowa tak „nowoczesne" jak „bimber" i „góral", czy nawet (w momencie, gdy wchodzi milicjant i grobowym głosem oznajmia o nagrodzie) „obywatelko".

Rozumiem. Może być w sztuce pierwiastek ludowy, może być szczery humor, ale dlaczego nie sięgnięto po to do skarbca polskiej twórczości?

Dlaczego reżyserja dopuściła do takich nonsensów słownych, jakie wygłasza na scenie Krętasio? Dlaczego nie zwrócono uwagi na grę Florka (Mieczysław Wielicz), który podczas trwania całej akcji wypowiedział cztery słowa dobre — (było to cztery razy wypowiedziane „psiakrew"). Dlaczego pozwolono aż do odruchu niezadowolenia wśród publiczności błaznować Wickowi (Stefan Śródka)?

Dlaczego?... Lista tych pytań byłaby niewyczerpana.

Co dała nam ta sztuka? Niech każdy z patrzących zada sobie to pytanie, a nie potrafi na nie odpowiedzieć. Nie potrafi, bo powiedzieć: nic — nie byłoby zgodne z prawdą. Owszem, dała nam jeszcze mniej niż nic, bo jakieś gorzkie przeświadczenie o miernocie zespołu i złym doborze sztuk, przeświadczenie o nieodpowiedzialnem, nastawionem niespołecznie kierownictwie.

Nie chcę wcale sprzątać starych śmieci, leżących gdzieś za kulisami od lat, ale sądzę, że atmosferę należałoby trochę odświeżyć. Dosyć już tej brukowej piosenki, szlagierów, kawałów sytuacyjnych, które nawet już gazeciarza z przedmieścia nie śmieszą. Dosyć zgrywania się, patetycznych i histerycznych wykrzykników. Czas byłoby dać coś naprawdę dobrego. Nie śpieszyć się, ale zato przygotować. Dać sztukę jedną na miesiąc, na dwa, jeśli niema warunków pomyślnych, ale niech to będzie rzecz opracowana.

Pozwolę sobie powiedzieć pod adresem kierownictwa teatru: nie mierzcie wartości sztuki udziałem publiczności, bo to zawodzi. Nie zawodzi jeśli chodzi o kieszeń, ale zawodzi, jeśli chodzi o rolę wychowawczą teatru, o jego zadania społeczne w nowej, odradzającej się Polsce.

Zbigniew Piotrowski

TEATR BIAŁOSTOCKI

Dyrektora Wojewódzkiego Teatru Białostockiego, Marjana Mellera, poznałam przypadkowo w sierpniu. Był bardzo zaaferowany, pełen jednocześnie niepokoju i zapału. Trzeba organizować teatr dramatyczny w Białymstoku. Niema artystów, rekwizytów, lokalu. W Białymstoku wszystko zniszczone, rozbite. Artyści dramatyczni albo zginęli z rąk zbirów niemieckich, albo się rozproszyli. Wydało mi się, że dyr. Meller ma zadanie nie do wykonania, a jednak 22. IX. 1944 odbyła się premjera sztuki „Uciekła mi przepióreczka" w reżyserji Joanny Błońskiej.

W ciągu miesiąca dyr. Meller zebrał z różnych zakątków kraju zespół teatralny, powyciągał ludzi przeważnie bardzo młodych; wielu z nich jeszcze na scenie nie grało, wielu — to rozbitkowie, którzy potracili swoje domy, rodziny, dobytek — przeszli piekło niemieckiego panowania w Polsce.

Na gruzach dawnego Białegostoku, wśród szkieletów spalonych domów, w byłej sali parafjalnej jednego z kościołów, która cudem ocalała, zaczęło się przedstawienie. Niemcy zrabowali nawet kurtynę, ale obeszło się bez kurtyny.

Niestety, nie zapamiętałam wszystkich nazwisk, ale zarówno dyr. teatru Marjan Meller, reżyserka Joanna Błońska, Jan Świderski (Przełęcki), Halina Kossołendzka (Smugoniowa), Józef Kondrat (Smugoń), profesorowie (Wołłejko, Szumowicz), jak i wszyscy inni artyści zasługują na najgłębszą pochwałę za staranne przygotowanie sztuki.

Słowa Żeromskiego w ustach młodego zespołu nie dźwięczały fałszywie i sztucznie, przeciwnie — młodość artystów nadawała im jakąś nieodpartą szczerość i moc, pogłębioną jeszcze przez chwilę obecną i warunki, w jakich powstał teatr.

Premjera „Przepióreczki" była symbolem. W trakcie przedstawienia zgasło światło. Publiczność chciała się rozejść. Ale oto na scenie zjawiają się świece i zespół gra dalej wśród szalonych oklasków.

W czasie pełnej napięcia sceny, kiedy Przełęcki rozstaje się ze Smugoniową — nalot niemiecki. Strzela artylerja przeciwlotnicza, gdzieś padają bomby, a zespół gra dalej, — nikt z publiczności nie ruszył się z miejsca.

Pionierska i żmudna praca zespołu kursów nauczycieli wiejskich w „Przepióreczce", to symbol pracy młodych artystów białostockich, pracy, dzięki której odradza się ze zgliszcz i popiołów placówka kultury.

Irena Sztachelska

KORESPONDENCJA

ELITA CZY NARÓD?

Do redaktora „Odrodzenia"

W pierwszem na wyzwolonej ziemi czasopiśmie literackiem spotykamy się z twierdzeniem zupełnie nieoczekiwanem: „Zostaje naród polski po strasznej chorobie faszyzmu rodziny policyjnej (?), naród ciągle w mękach jeszcze donosu, jeszcze zdrady i jeszcze ciągania po manowcach nienawiści partyjnych, **naród upodlony niewolą hitlerowską,** naród wiecznie ślepy w ciemności zabobonu" („Odrodzenie" nr. 2—3, artykuł Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego „Powrót", podkreślenia moje — Wł. W.).

Nieprawda, to wszystko nieprawda. Naród upodlony niewolą nie jest zdolny nic z siebie dać. Obceby mu były hart i męstwo w walce o swe istnienie, nie walczyłby do ostatniego tchu z przemocą. Poddałby się przemocy. A tymczasem liczba bohaterów, jakich dała Polska, jest nieskończona...

Skąd więc ten pesymizm i utrata wiary we własny naród? I dlaczego znajduje miejsce na łamach czasopisma, wychodzącego na wolnej polskiej ziemi, która rzeczywiście otrząsnęła z siebie zmorę niewoli faszystowskiej?

Warszawa, tragiczna Warszawa, postawiona przez szulerów politycznych spod znaku gen. Sosnkowskiego przed faktem przedwczesnego powstania, dała przykłady męstwa, jakiego bodaj nigdzie na świecie nie było. Bohaterska postawa Warszawy, walka i poświęcenie naszych żołnierzy śpieszących z odsieczą, budzi podziw całego świata. Naród walczy zaciekle, spływa krwią...

Moment, jaki obecnie przeżywamy, jest najlepszym wskaźnikiem olbrzymich zasobów moralnych naszego narodu. Bo naród — to Warszawa.

Naród to lud polski — to te szerokie rzesze, które nie szczędzą krwi własnej i ciężkiego wysiłku dla własnego kraju. I wszystko to daje gwarancje takiej mocy wenętrznej, że możemy śmiało i z pełną wiarą patrzeć w przyszłość.

Grupa literacka „Przedmieście" zawsze była bliska tym prądom w społeczeństwie polskiem, które w chwili obecnej znajdują swój wyraz w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, stawiającym mocne zręby układu politycznego, opartego na szerokiej demokracji. Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki wnieśli dość poważny wkład do literatury.

I dlatego zupełnie nieoczekiwana jest ta utrata wiary we własny naród. A bez wiary w siły własne narodu nic tworzyć nie można.

W artykule „Powrót" spotykamy się z wyraźną tendencją myśli, że nasz naród jest niewiele wart. Istnieje tylko grupa ludzi („kierowników mądrych i świadomych, czujnie patrzących w dal"), którzy powinni dopiero „ten" naród wychować. Przeciwko takim tendencjom należy wystąpić z całą stanowczością: myśl jest błędna i szkodliwa. Z takiemi teorjami należy walczyć.

Siedem grzechów głównych, jakie autorzy przypisali narodowi, mogą odnosić się tylko do oddzielnej warstwy społecznej, która narodu nie stanowi i nie charakteryzuje jego wartości moralnych.

Każdy naród w swojej masie ma mniej lub więcej, a w okresie katastrofy społecznej zawsze więcej, jednostek słabych, spodlonych. Ale należy mówić tylko o nich, a nie rzucać kolumnij na cały naród, który w swych zasadniczych warstwach — chłop, robotnik, inteligent pracujący — pozostał zdrowy, co więcej, zahartowany w ciężkiej walce, wytwarza nowe wartości, podnosi oddzielne jednostki na wyżyny, wyłania swoich kierowników. To daje naród. Wszystkie siły czerpiemy z narodu.

Z teorjami elity, która dopiero będzie wychowywać naród, należy skończyć. My je właśnie grzebiemy. Na wspólnym pogrzebie — razem z hitleryzmem.

Władysław Wolski (Lublin)



Powstańcy Warszawy
fot. Edm. Zdanowski

*

W SPRAWIE PISOWNI

Do redaktora „Odrodzenia"

Sądzę, że wielu czytelników zwróciło uwagę na różnolitość pisowni w naszych organach prasowych i publikacjach.

Komitet Ortograficzny, zwołany przez Polską Akademję Umiejętności, na podstawie gruntownych studjów i po półtorarocznej działalności ustalił zasady pisowni polskiej. Uchwały Komitetu zostały ogłoszone w specjalnem wydawnictwie Polskiej Akademji Umiejętności w r. 1936. W pracach Komitetu brali udział wybitni reprezentanci szeregu instytucyj, a między innymi z ramienia Polskiej Akademji Literatury: prof. Juljusz Kleiner, który przebywa obecnie w Lublinie, i zamordowany przez hitlerowców dr Tadeusz Żeleński (Boy).

Niesposób tu oczywiście przytaczać zasad tej pisowni i przykładów stosowania obecnie prawideł odmiennych. Należy jednak stwierdzić ogólnie, że w pismach i publikacjach używa się przeważnie „starej" pisowni, sprzecznej z reformą ortograficzną z r. 1936.

Uważam przeto, że ujednostajnienie pisowni w naszem życiu publicznem jest bardzo aktualne. Powinno ono nastąpić przedewszystkiem ze względu na bieżące prace ustawodawcze w związku z opracowywaniem tekstów nowych przepisów prasowych i innych enuncjacyj urzędowych (ustaw, dekretów, rozporządzeń, zarządzeń, obwieszczeń itp.) oraz z uwagi na potrzebę normalizacji pracy w nowopowstających urzędach i instytucjach. Pozatem omawiana sprawa niewątpliwie wiąże się w sposób zasadniczy z nauką języka polskiego w naszych szkołach.

Rychłe wyjaśnienie ze strony czynników miarodajnych jest więc tu bardzo na czasie, celem uniknięcia niepotrzebnej gmatwaniny i rozbieżności w zasadniczej kwestji, dotyczącej kultury języka polskiego.

Kwiryn Mańkowski (Chełm)

*

OD REDAKCJI

Z powodu trudności technicznych (brak w Lublinie większej drukarni) „Odrodzenie" będzie się ukazywać przez pewien czas co dwa tygodnie.

Następny numer „Odrodzenia" poświęcony będzie Warszawie.

Reprodukowane w dzisiejszym numerze zdjęcia A. Forberta, Wł. Forberta i Edm. Zdanowskiego pochodzą z Wytwórni Filmowej W. P.

*
* *

W drugim - trzecim numerze „Odrodzenia" z dnia 17 września 1944: **Juljusz Słowacki:** Warszawo! — **Adam Ważyk:** Pierwsza Armja. — **Adam Ważyk:** Serce granatu. — **Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki:** Powrót. — **Juljan Przyboś:** U szczytu drogi. W ucieczce. Póki my żyjemy. Nalot nocny. Oczy zabitych. Wiosna 1941. Niosąc ziemię. Wiosna 1942. Noc listopadowa. Nad poległym powstańcem. — **Jan Karol Wende:** Z cyklu: Spotkania z Polską. Koncert F-moll. — **Roman Werfel:** Nowy etap historji Polski. — **Ignacy Narbutt:** Z dziejów walki wyzwoleńczej w Kraju. — **Mieczysław Jastrun:** List w przestrzeń. — **Jan Huszcza:** Spotkanie ze Stefanem Jaraczem. — **Marja Fiderer:** Stefan Jaracz. — **Jacek Bocheński:** W sprawie popularyzacji literatury. — **Wiktor Ziółkowski:** Józef Czechowicz. — **Jerzy Putrament:** Karabin. — **Józef Sigalin:** Obraz Lucjana — **Lucjan Szenwald:** Elegja na śmierć Mieczysława Kalinowskiego. — **Janusz Minkiewicz:** On.— Pierwsze zebranie literatów polskich. — 13 ilustracyj (1 rysunek **J. Krajewskiego,** 1 rysunek **R. Kramsztyka** i zdjęcia **A. Forberta, Wł. Forberta, O. Samucewicza** i **E. Zdanowskiego).** — 12 stron.

Projekty organizacyjne literatów

Dnia 3 września b. r. odbyło się w Lublinie pierwsze zebranie tymczasowego zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich. Na zebraniu tem dokonano wyboru tymczasowych władz związku. Prezesem został Juljan Przyboś, sekretarzem Adam Ważyk, skarbnikiem Mieczysław Jastrun. Nowowybrany zarząd dokooptował przybyłych do Lublina literatów Boguszewską i Kornackiego.

Zarząd tymczasowy opracował wytyczne organizacji i działalności związku. W myśl tych wytycznych Związek Zawodowy Literatów Polskich jest jedyną organizacją zawodową w kraju zrzeszającą poetów, powieściopisarzy i nowelistów, esseistów i krytyków literackich oraz tłumaczy literatury pięknej.

W ramach demokratyzacji życia społecznego w kraju na danym etapie Związek Zawodowy Literatów Polskich jest jedyną demokratyczną formą organizacji zawodowej literatów, powołaną do reprezentowania literatów i ich interesów tak w stosunku do wydawców jak i do państwa. Wobec specyficznych zadań i potrzeb związek ten nie może być sekcją żadnego innego związku.

Związek będzie dzielił się na poszczególne oddziały w poszczególnych miastach. Władzą naczelną związku będzie zarząd główny, który też będzie powoływał do życia oddziały lokalne. Ze względu na płynność zawodu literackiego wprowadzony będzie podział na członków rzeczywistych i kandydatów. Uprawnienia ich będą uregulowane statutowo. Członków rzeczywistych będzie mógł przyjmować tylko zarząd główny. Dla zorganizowania życia literackiego będą utworzone przy oddziałach lokalnych kluby literackie.

Celem związku jest obrona interesów zawodowych literata, opieka nad nim, oraz organizowanie życia literackiego.

Obronę interesów zawodowych związek podejmuje w stosunku do wydawców. Stosunki między wydawcą a literatem powinny być uregulowane ramowo w drodze ustawodawczej. Istniejąca w tej materji ustawa powinna ulec zmianie. Projekt nowej ustawy, przygotowany przez Resort Kultury i Sztuki w porozumieniu z władzami związku, powinien dawać związkowi prawo kontroli nad umowami i wykonywaniem umów oraz przewidywać opodatkowania egzemplarzy książki należącej do literatury pięknej na rzecz Funduszu Literackiego.

Opieka nad literatem powinna mieć charakter stały. W tym celu niezbędne jest utworzenie ze środków państwowych Funduszu Literackiego, którymby całkowicie dysponował zarząd związku, gdyż wszelka pomoc materjalna i wszelkie udogodnienia dla literatów powinny odbywać się za pośrednictwem związku. Do dyspozycji związku powinny być oddane odpowiednie domy odpoczynku dla literatów.

W ruchu wydawniczym i organizacji życia literackiego powinna poważną rolę odegrać spółdzielczość. Zarząd tymczasowy zwrócił się do Resortu Kultury i Sztuki o poparcie na szeroką skalę spółdzielni autorskich.



Fizyljerki w drodze na front
fot. Wł. Forbert

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji i administracji: Lublin, Krakowskie Przedmieście 62. — Drukarnia A. Szczuki, Lublin, Zamojska 12. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".